



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## NA WERENDZIE.

(POGAWĘDKA).

Od dwóch miesięcy zmienilem „werendę“.

Kurs warszawskiego bruku, nieustanny ruch powozów i ludzi, cichy szmer kół gumowych i turkot zwykłych dorożek a nade wszystko ten zaduch miejski, to pragnienie powietrza i zieleni — kazały mi jak najdalej usunąć się od Warszawy. Na pobyt podczas miesięcy letnich obrałem Kazimierz nad Wisłą, miasteczkę handlową niegdyś i kwitnącą, bo przez nią aż do w. XVIII szedł główny trakt handlowy z podola i ziemi sandomierskiej. Upadek miasta datuje się od wojen szwedzkich i klęski zarazy strasznej w r. 1705. Od tej chwili Kazimierz nie podniósł się już z upadku, miasto zubożało, a przy zmianie dróg komunikacyjnych, jako handlowe, zostało na uboczu, nie odwiedzane zaś przez królów i panów, obrastało mchem starości i powoli rozsypywało się w gruzy. O tej dawnej świetności Kazimierzowego grodu mówią dziś jeno: ruiny królewskiego zamczyska panujące nad miastem, zwaliska stojących nad Wisłą śpichrzów niegdyś wypełnione ziarnem sandomierskiej pszenicy, potężna wieża na najwyższym wznosząca się wzgórzu nie wiem dla czego zwano wieżą Maćka Borkowicza, boć o ile mnie pamięć myli, butny wojewoda poznański śmierć głodową poniósł na zamku Olkuskim — i dwa piękne kościoły poreformacki i farny. W tym ostatnim zwracają uwagę piękne organy i ambona roboty znowocerkarskiej z w. XVII — jako też zabytek, tysiące, wspomnień nasuwujący: potężne rogi jelenie,

dar króla Kazimierza, jako ofiara po dokonanych łowach szczęśliwie.

Mury klasztoru po reformackiego dziwną pustką wieją. Po osamotnionych korytarzach wiatr przechadza się, pająki rozciągają się swoją, zbudzą się czasami a to poruszone szmerem kroków zwiedzających Kazimierz ciekawców. A w sklepieniach podziemnego kościoła, bez trumien i napisów żadnych, snem bez przebudzeń śpią mnisi reguły świętego Franciszka, a reguła to było sroga, odmawiająca wygod umarłym nawet. W lochach kościelnych składowano zwłoki obok siebie, pod głowy umarłym dając cegłę tylko. Czas dokonał dzieła zniszczenia, rozsypały się habity, z pod sukni zakonnej wyszły nagie piszczele, gdzieś niegdzie jednak kaptur pozostał na głowie, gdzie niegdzie skóra zeschnęła i przylgnęła do kości, tak, że pozostał wyraz twarzy, że mógłbyś nawet odtworzyć uczucia jakie w godzinie śmierci miotają umierającymi. Oto jeden ma głowę schyloną ku prawemu ramieniu, zdaje się, że usnął w błogiem oczekiwaniu nieba. Widać, że śmierć miał lekką, że nie zaznał bolesnego szamotania się ducha z ciałem. Zupełnie inne wrażenie robi towarzysz nieboszczyka: szyja wyciągnięta, usta otwarte, jakby męczeński krzyk jakiś z ostatnim tchnieniem uleciał.

Smutne, nad wyraz smutne budzi uczucie to zwiedzanie grobów podziemnych, gdzie leżą szczątki ludzkie, w białe pyły rozsypane, przemawiające tak okrutnie o marności życia ziemskiego. I gdybyż to życie krótkie a marne, choć we względem szczęściu przeszło, gdyby, tę ziemską wędrówkę kończąc, powiedzieć można było: zerwałem róz trochę, upoiłem się ich wonią, stworzyłem szczęście sobie i innym dałem, nie rozwiły się z wiatrem sny moje, marzenia nie spłynęły rzeką — czułem ich kształty, brałem w ramiona, czułem ich ciepło i życie!..

Gdyby!..

Ale od pierwszego dnia swoich urodzin, na śmierć skazańcy, o czcze mary tylko gonimy. Im dalej postępujemy w życie, tem coraz dłuższy cień smutku za nami się włości; za kwiatem więdnie kwiat, gaśnie gwiazda za gwiazdą, wciąż niżej a niżej ciężająca głowa uchyla się aż padnie w grób. I nie wiesz dla czego żyłeś, i nie wiesz nawet czy żyłeś — bo doprawdy, że życiem nazwać nie można tych kilkokrotnych uderzeń serca w piersi, tych pragnień kilka, które się tobie przez mózg przewinęły.

A ziemia tak piękna, a tak nęci, tak wabi urokami swojemi! Po wyjściu z grobów, po otrząśnięciu się z marzeń przysnębiających, zda się, że odetchnęła życiem innym. Prześliczne wzgórze, ubrane drzew zieleńią szepczą do ciebie: chodź do nas, odetchnij w cieniu nowym! Szeroka wstęga Wisły, rozwinięta u stóp naszych, niezłęczonym szelestem do ciebie przemawia; śmigają po niej łodzie rybackie, lśnią na powierzchni jej fal blaski słoneczne, skrzysz się i złocą i szepczą: spiesz, spiesz, spiesz! unieś się daleko, w kraj błękitów i słońca!..

— Na fale! wypada okrzyk z piersi.

— Pod fale!.. Złe oto odpowiada — i twarz mi błednie nagle.

Schodząc ku Wisłę, czytałem gazetę. Nagle wzrok mój zatrzymał się na wyrazach:

„Łódź sześcioviosłowa „Wilja“ dążąca na regaty płockie pod sterem wice-prezesa Towarzystwa Warszawskiego, p. Kazimierza Mateckiego, o godz. 3-iej po południu, w samym Płocku, zalana falą, poszła na dno. Utonął Jan Bliziński.“

Kładą się ludzie, jak ulegalki, do grobów — a jakkolwiek życia żał zawsze, podwójnie go żał, gdy ono w zaczątku schodzi, gdy próżnię pewną po sobie zostawia.

Śmierć Jana Blizińskiego wywarła na mnie piorunujące wrażenie. Znałem tego dwudziesto-kilkoletniego młodzieńca, któremu uśmiechało się życie, niezapisane jeszcze zawodami żadnymi; a choć fortuna nie obsypała go swemi łaskami, za to darów nie mało od matki przyrody otrzymał: bo młodość rześką, zdrowie i humor i tę naturalną wesołość, właściwą wiekowi młodemu, to śmiało wyzywanie życia, nie poddawanie się losowi, tę pewność zwycięzka, że zapory przełamają się wszelkie wolą niezłomną i niezachwianą uczciwością. Jan Bliziński pracą rąk własnych utrzymywał matkę i młodszego rodzeństwo; był ukochaniem rodziny, bo na tę miłość zasłużył — życie to potrzebne było — i oto — jedna fala wiślana przerywa je, niszczy okrywa serce żałobą...

I co do tego wiąże, czy krótkość jego, czy jego przerażająca nicłość... Nad tą tajemniczą otchłanią kołysze się nadzieja, nie — tylko nadzieja!... O jej zawodności wciąż mówimy — bez niej jednak nie stałoby nam sił do walki, ni ochoty do życia — Czarowna złudo, nie opuszczaj więc i w godzinie śmierci skazańców ziemskich.

Jakkolwiek opuściłem Warszawę, ażeby odechnąć lepszemu powietrzu u stóp wzgórza położonego Kazimierza, mimo to nie zerwałem z nią zupełnie; ten, to ów jej mieszkaniec zawiata do mnie, podzieli się ze mną nowiną jakąś i dziennik jeden i drugi odczytany zostanie i tym sposobem człek wie, co i jak się w niej dzieje. Wiem tedy że — coraz niebezpieczniej jest na ulicach Warszawy, bo nożownictwo kwitnie w najlepsze, i to już nie w oddalonych zaułkach miasta ale napadają na przechodniów na takich ulicach naprzykład, jak Wilcza lub Ordynacka. — Bez broni albo dobrego kija przynajmniej nie można już samotnych o spóźnionej godzinie wycieczek odbywać, podczas gdy tu, w Kazimierzu, mimo jarów, i wawozów zarośniętych drzewami i krzewami korzystają sobie szczęśliwie z nocy księżycowych, z uspokojeniem melancholijnych do wycieczek porannych; zanurzają się z całym spokojem w tajemnicze cienie wadołów bez obawy jawnej zaczepki albo zdradzieckiego napadu. Nieraz w swoich samotnych wycieczkach, gdy się zaszło w gąszcz jakąś oświetloną zaledwie słabymi blaskami księżycyca — zwrócił moją uwagę szelest czyichś kroków, jakiś cień wyrzał z jaru z kiejem w prawicy — ale dreszcz trwogi nie lechtał skóry, byłem pewny, że cień się zbliży, powita imieniem Chrystusa i pójdzie dalej.

Bez przesady mówię, że nie zdarzyło się mi spotkać tak uprzedzającego i uprzejmego ludu. Wita ciebie z uśmiechem twarzy, chętnie wszelkich wskazówek udziela, nieraz zajęty pracą, porzuca robotę i staje się twoim bezpłatnym przewodnikiem, gawędzi chętnie i dużo, choć nie od razu wywnętrza się z głębszemi uczuciami. „bo to, widzi pan, są ludzie różni i człek nieraz nie wie z kim gada.“ Osady szlacheckie mieszają się z kmieciami, między szarakiem a siermięgą, dobra panuje komitywa, tylko szarak o swoich zatraconych przywilejach zapomnieć nie może, a choć nie ubiera się już z waszecia, lecz patrzy z waszecia i zawsze się za coś lepszego od chłopca uważa. Parę ciekawych obrazków z towarzysko-obyczajowego ich życia zebrałem.

W osadzie, Czerniawą zwanej, mieszkała krewna rodzina waszeciów; jeden z jej członków zakochał się w wiejskiej dziewczynie i pomimo gniewu familji, darów, przestrogi i groźb, wziął Kaśkę za dozoną towarzyszkę życia. Chwalne pożyte przekonano, że nie omylił się w wyborze; Kaśka nie tylko ciało ale i duszę miała anielską, koroną była mężowi, jego spokojem i szczęściem, pomocą w pracy i pociechą w strapieniu. Mimo to jednak rodzina nie dała się przekonać, zerwała z nim wszelkie stosunki, nie omieszkała ze sposobności, by mu swoją pogardę okazać. Ta pogarda i to zerwanie stosunków wszelkich z rodziną, taką męczarnią mu było, że dnia pewnego kazał Kaście precz pójść od siebie, a w dni parę potem z rozpaczy się obwiesił.

Przed kilku dniami byłem na pogrzebie innego znów szlachcica, który także węzłem dozgonnym połączył się z włością i został przez familję wyklęty. Nie odtrącił jednak ukochanej, lecz jeszcze więcej sercem do niej i do jej współziomków przyłnął. Uplęnięto lat kilka, z rodziną swoją spotykał się w kościele, na odpustach i na jarmarkach, lecz nie kłaniali się ani patrzyli na siebie, wszelkie węzły krwi zostały zerwane. Aż oto śmierć przyszła i zabrała szlachcica. Mówią, że do tych odwiedzin Kostuchy przyczyniło się to zerwanie familjnych stosunków, ale ona wygładza wszelkie nierówności i każe ludziom zapominać o wszystkim. To też za trumną winowajcy znaleźli się wszyscy członkowie rodziny zmarłego. Szli z powagą, kiwali głowami, rzucili do mogiły po garstce ziemi, nie pocieszali tylko młodej wdowy, która była cierniem w ich wątrobie,

A oto obrazek trzeci:

U p. W. gospodynii, u której jestem chwilowym lokatorem zebrało się towarzystwo liczne, bo z sześćdziesięciu osób złożone, a wszystko z waszecia, panny i młodzieńce o swoich rodowych papierach zapomnieć niemogący. Nie różniąc się już w niczem od włości, bo tak samo sami za plugiem chodzą, zboże cepem młóca, i w szynku monopolówkę piją — jest pewien punkt jednak, rozgraniczający szlachcica od kmiecia. Szlachcicowi wolno orać swoje własne pole, szlachcicowi wolno własny pleć ogród i własne śmiecie z izby wymiatać, ale hańbi go lub ją służba u obcych, choćby to była służba u panów nawet. — Owóż tedy, z Kazimierza, poszła na służbę do domu mego szlachcica dziewczyna, do czego ją zmusiły niesnaski domowe z powodu powtórnego wyjścia za mąż rodzicielki. — Dziewczyna, nie z ojczymem, który był dobrym zresztą człowiekiem, lecz z tem powtórnem zamążpójściem matki pogodzić się nie mogła — porzuciła więc dom rodzicielski i o własnej pracy żyć chciała. Było to coś w rodzaju nowogodnej emancypacji. Energię Anielkę losy mnie nastęrczyły.

Wspomniana pani W... znała dawno dziewczynę, a że była przekonana postępowych wraz z córką swoją, Wicią, chciała i pannę Anielę do siebie na wieczorek zaprosić. Bez zgody jednak towarzystwa uczynić tego nie mogła. Więc, gdy się wszyscy zebraли wypowiedziała myśl swoją, która jednogłośnie odrzuconą została. — „Anielka jest szlachcianka, a przeto nie wolno jej, jak chłopce, służyć, choćby u najbogatszych państwa. U siebie w domu może myć podłogi i świnie pasać, ale podłoga musi być swoja i świnia swoja — Od Anielki więc odwróćmy się plecyma, bo już do naszego nie należy towarzystwa.“ Zaczął się więc spór pomiędzy gospodynią i jej córką a zebraniem. Zacołane przekonania towarzystwa zwalczała energicznie panna Wicia, dziewczyna jak malowanie, mająca liczne grono wielbicieli — Przekonała czy nie przekonała zacołanców, to tajemnicą zostanie, ale, że młodzież szlachecka smoliła koperczaki do panny Wici i o jej ubieganiu się względy, więc zaczęła zrazu półgębkiem, brać stronę powabnej rzeczniczki, później coraz wyraźniej z jej przekonaniem się zgadzać, wreszcie ładny buziak, coraz wymowniejszy się stając, przekonał (mniejsza czy szczerze) grono młodzieńców, za którymi chcąc nie chcąc, poszły panny szlachcianki i, w ten sposób Anielka zaproszona do towarzystwa została. — Potrzeba była widzieć, jak się skrzywiły panny Magdaleny i Stanisławy, gdy Anielka pięknym powitała ich dygiem; potrzeba było słyszeć jak panna Wicia naprowadzała rozmowę na temat o pracy, która nikogo nigdy nie krzywdzi, jak jej z zapałem wtórowała młodzież i chcąc się przypodobać Wici nadskakiwała Anielce. I ja tam byłem, miód i — wódkę piłem... i zobaczyłem, w innej sukience tylko, te same przesady, te same przekonania, te same grzechy, i śmieszności te same, których nie brakuje i naszemu ukształconemu towarzystwu tylko, gdy pokrywa to wszystko polor światowej ogłady, tam w rubasznej występuje postaci, nie powleczonej towarzyskim pokostem.

Ale mimo to jest dużo stron dodatnich, tak w tem rojowisku szlacheckim, jak wśród siermiężnego ludu. Zwróciłem szczególną uwagę na doskonałą mowę polską wśród chłopów, bez mazurskiego szeplenia. Tak samo mówi szlachta, wyżej od chłopca stojąc pamiętką tradycyi, ale niżej społecznie przesadami swojemi.

Czy zatęskniłem za Warszawą?

Zrosłem się z nią, ale w nią nie wrosłem. Bądź co bądź, przeniósłbym życie wiejskie, otoczony naturą, spokojem i ciszą. Przysłowie powiada, że czem skorupka za młodu nasiąknie, tem i na starość trąci. A mnie wychowały bezgranicznie łany pól ukraińskich, do snu mi pieśni Dniepr śpiewał, do marzeń kołysały szumy traw i zbóż i cisza stepów i szepty stepów... Chciałbym choćby na starość tą wiejską otoczyć się ciszą i umrzeć wśród drzew zieleni, nie w ciasnych murach miejskiej kamienicy.

W Warszawie przybywa trzeci teatr — dowiaduję się o tem z dzienników.

Na placu pozostałym poza hotelem „Bristol“ stanie frontem do ulicy Karowej gmach okazały, łącznie z salą balową.

Trojgiem szerokich drzwi wchodzić się będzie do obszernego vestibulu, z którego dwoje schodów głównych po jednej i drugiej stronie prowadzi na pierwsze piętro widowni, umieszczonej nad antresolą. Z tego vestibulu jest wejście wprost do sali balowej, połączonej z drugiej strony z hotelem. W antresoli mieścić się będą: kantor teatralny i składy garderób. Obszerna sala balowa ma osobną lożę dla orkiestry. Ozdobny jej sufit wspierać będzie sześć kolumn. Z parteru i antresoli schodami głównymi wchodzimy do widowni, w której znajduje się dwanaście rzędów krzeseł, loż czternaście bocznych i dwie prosceniowe. Te same schody prowadzą do loż 1-go piętra i amfiteatru o 4-ch rzędach krzeseł. Dwoje schodów bocznych prowadzi do galerji II i III piętra. Każde piętro ma swoje foyer. Teatr pomieści 1400 osób. Po obu stronach widowni są szerokie kurytarze. Z jednej i drugiej strony sceny obszerne schody wyłącznie dla służby i artystów teatralnych. Pod sceną mieści się maszynerya teatralna i antresola, a pod antresolą malarnia tych samych rozmiarów co scena. Kurytarze mają światło dzienne, 6 okien od strony dziedzińca hotelowego i 5 okien w zaostrzeniu panoramy. Ogrzewanie teatralne i oświetlenie elektryczne. Projekt budowy opracowało biuro techniczne: „Karol Kozłowski i Pianko.“ Budowa ma być rozpoczęta w r. b. i ukończona zostanie do jesieni r. p.

Wszystko to bardzo piękne i bardzo pocieszające, ciekawi tylko jesteśmy, jakiej sztuce da przyszedł teatr przytulisko, co w nim panować będzie: swojskość czy cudzoziemszczyzna?...

Przypominacie sobie, szanowni czytelnicy, jakiego rumoru w swoim czasie narobił Biegas, ów talent z Bożej łaski, który obecnie kształci się w Krakowie i zdaje się, że lwich swoich pazurów nie traci. A oto znów w „Kuryerze Warszawskim“ czytamy o samouczku, snycerzu z Wilczyna w gub. płockiej:

„W okolicy naszej — pisze korespondent Kuryera — wzbudza podziw samorodny artysta, 17-letni syn młynarza, Józef Szulczyński. Jest to niepospolity snycerz, jakkolwiek nigdzie nie uczył się; jego uzdolnienie jest tylko owocem własnej pracy i chwilowej praktyki wędrownego malarza przy fabryce kościelnej.

Szulczyński rzeźbi ambony, ołtarze i maluje freski. Obecnie wykonał wspaniałą chrzcielnicę do jednej ze świątyń pod Słupią; ostatnia odnowa prastarego kościoła w Wilczynie dziełem jest jego ręki. Malował sufit i odświeżył obrazy. Robota odbyła się pod kierunkiem proboszcza miejscowego, ks. Rokosowskiego.

Ha! Spiritus flat ubi vult!

# „LILI“ GOETHEGO.

Kartka z życia poety.

(Dalszy ciąg).

Rzeczywista postać Goethego zupełnie inaczej zarysowuje się w liście jego do Stolbergów: „Ale jest jeszcze inny Goethe w szarym surducie, w butach, w ciemnej jedwabnej chustce, który w przewiewie lutowego powietrza już wiosnę przeczuwa, któremu już niebawem jego ukochany daleki świat znów rozwartym będzie, który, zawsze zamknięty w sobie, pnący się wzwyż i pracujący stara się podług możliwości oddać to niewinne uczucia młodości w drobnych wierszykach, to znów krzepką przyprawę życia w niejednym dramacie, to wreszcie postacie swych przyjaciół i swych okolic kredą na szarym papierze, nie pytając, co myślą o jego dziełach, ponieważ w pracy swej coraz to o jeden stopień wyżej staje, ponieważ nie roją mu się ideały, lecz chce pozwolić uczuciom swoim rozwinąć się, walcząc i igrając zarazem.“ Tu brzmi prawdziwa struna jego duszy. Zrodzony do poezji, a nie do zmarnowania życia na balach, w ciągłych zabiegach koło pięknej blondynki, która i jego i innych kokietuje, czuje on, że namiętność jego jest szaleństwem. Jeżeli zaś mężczyzna to czuje, to choćby nawet Kupido dotknął się jego ramienia, zaręczyć można, że serce ma zdrowe. Jak Goethe z uczuciem swem i z sobą walczył, widać to z tego wiersza \*)

Serce moje z kąd to bicie?  
Z kąd wrę w tobie tyle burz?  
Co za nowe, obce życie?  
Nie poznaję ciebie już.  
Znikło wszystko, coś kochało,  
Wszystko, co cię zasmucało...  
Brak spokoju, pracy brak—  
Co zmieniło ciebie tak!?

Czy uroczych blasków krocią  
Czar postaci zaklął cię...  
Czy wiernością i dobrocią,  
Co z pogodnych źrenic technie...  
Chciałbym od niej się odwrócić,  
Przemódz siebie, ją porzucić...  
Lecz napróżno—z innych dróg  
Zawsze wracam do jej nóg.

W czarodziejskiej nici kluby,  
Które próżno rwać bym chciał,  
Wbrew mej chęci, jał mnie lubej  
Kapryśnicy mojej szal...  
W jej czarownym żyjąc kole,  
Muszę jej wypełniać wolę...  
Jakże wszystko zmienia się!  
O miłości! oszczędź mnie!

Lili była kokietką i jej kokieterya ostudziła na pewien czas miłość poety, lecz dziewczę znów ją niebawem rozplomięć umiało. Traktowała go, jak on niegdyś biedną Andzię w Lipsku i jak tam udramatyzował przejścia swoje w „Kaprysach Zakochanego“, tak teraz rzeczywistość w operze „Erwin i Elwira“, w której kokieterya kobiety doprowadza do rozpaczki kochającego ją mężczyznę. Była to więc przestroga dla Lili, i—jak się zdaje—skuteczna.

Nietylko przykrym był dla poety brak uwagi ze strony ukochanej, od której nie miał się oderwać „wbrew chęci“ do niej przykuty—dokuczały mu również i przeszkody zachodzące ze strony jej i jego rodziców, którzy nie

którzy nie chcieli zgodzić się na ten związek, nie wydający się upragnionym żadnemu z obu domów. Spodziewano się, że córka bankiera wyjdzie za mąż również za bankiera, albo co najmniej za... hrabię; poeta, należący do zamożnej, lecz bynajmniej nie wybitnej rodziny, nie był wcale takim narzeczonym, jakiegoby tam sobie życzone; arystokratycznej rodzinie dziewczęcia nie mógł imponować wnuk krawca, ojciec zaś poety, nad miarę dumny ze swojego stanu i tytułu cesarskiego radcy, demokratycznie lekceważył sfery, w których wartość człowieka określano na zasadzie majątku, oraz szeregu przodków; przytem dumny i sztywny stary radca bynajmniej z tego się nie cieszył, że będzie miał za synową wytworną światową damę—nie znosząca zaś żadnych ceremonii pani Aja \*) spełniałaby bez wątpienia w świetnych salonach Schönemannów jedno *faux pas* za drugim. Siostra poety Kornelia, dobrze znająca swego ojca, i jego pedantyczność, sprzeciwiała się listownie temu związkowi. Merck, Horn i inni przyjaciele Goethego również byli temu przeciwni. Lecz próby, mające na celu rozłączenie kochającej się pary, osiągały naturalnie skutek wprost przeciwny. Zwłaszcza Lili nie obawiała się przyszłości i była zdecydowaną, z czem się zresztą nie tała wcale, wraz z ukochanym udać się choćby do Ameryki.

Wiosną 1775 r. przepędzili oboje na wsi, w pięknej osadzie Offenbach nad Menem, gdzie Lili zamieszkała u krewnych i gdzie ją Goethe mieszkał u miejscowego kompozytora, Andre'go, niemal codziennie odwiedzał. Naturalnie, że utrzymało to jeszcze stosunek pomiędzy nimi; zwłaszcza dla niego miało to ów specjalny urok, natomiast widzieć ukochane dziewczę w zielonych ramach, tohnącego wiosną gaju, lub też na grzbiecie rasowego rumaka. W czwartej księdze wspomnień poety znajdujemy wiele ciekawych szczegółów, tyjących się wspólnego pobytu zakochanej pary w Offenbachu — odstąpmy więc na chwilę głosu poecie: „Co do mnie, przybywałem zwykle tylko późnym wieczorem, a pragnąc towarzystwu stać się użytecznym, podejmowałem się dla niego wykonywania rozmaitych zleceń. Służebnictwo takie dla mężczyzny nader bywa miłym, jak nam to stare romanse rycerskie opisują w sposób nieco ciemny, ale jędrny. Ze Lili mnie opanowała, było rzeczą jasną i mogła się tem pochwalić, bo w stosunkach podobnych tryumfują zarówno zwyciężeni, jak i zwycięzcy i obie strony jednakową czują dumę.

Częsta atoli, lubo zawsze krótka, bytność moja w Offenbachu działała podniecająco. Andre miał zawsze świeże nuty, ja zaś przynosiłem nowości własne i cudze; kwiaty więc muzyczne i poetyckie sypały się obficie. Były to czasy świetne: w towarzystwach panowała pewna egzaltacja, chwile zaś czczości nie zdarzały się wcale. Stosunek mój do Lili wpływał zachęcająco i na innych, bo tam gdzie skłonność wzajemna umysłów samodzielnych występuje jaśnie, pobudza to i pary nieśmiałe do nieukrywania się również ze swymi uczuciami. Piękne wieczory letnie dawały nam sposobność do pozostawiania do późna razem na wolnym powietrzu. Był to stan, o którym powiedziano: „śpię, ale serce me czuwa;” dzienne i wieczorne godziny ubiegały jednakowo: światło słoneczne nie zdołało stłumić światła miłości, a noc przy blasku uczucia, jasnym dniem się stawała.

A tymczasem poecie przybywało coraz więcej prawniczych zawodowych zajęć, które starał się nawet rozszerzać, powodując się miłością dla Lili. Odwiedziny w Offenbachu stawały się coraz rzadszemi, „często-bo — mówi poeta—człowiek w widokach przyszłości zaniedbuje i utracę terażniejszość.“ A owe widoki przyszłości, wraz z stopniowem powiększaniem się dochodów, czyniły go pewniejszym siebie — postanowił też zrobić krok rozstrzygający. „Nie rozmawialiśmy o tem z sobą; ale uczucie wzajemnej bezwarunkowej skłonności; przekonanie, iż roz-

łączyć nam się niepodobna i ufność bez granic jaką pokładaliśmy w sobie—wszystko to czyniło położenie nasze bardzo poważnym. Przyczynkiem był sobie, że nie nawiązę już nigdy stosunku miłosnego, nie mając pewności pomysłnego zakończenia, a tymczasem tu czułem się znowu zaplątanym, bez wyjścia prawie.“

Jakieśmy już o tem wspominali, całe otoczenie zakochanej pary chciało doprowadzić stosunek ten do zerwania. Z chwilą jednak, kiedy poeta powziął stanowczą decyzję zaślubienia Lili, młodzi znaleźli powiernicę i protektorkę w osobie panny Delph z Heidelberga, której ulubionem zatrudnieniem było swatostwo, i która, znając dobrze całą rodzinę Lili i posiadając zaufanie jej matki, poznała się oddawna na wzajemnej skłonności młodych i postanowiła im się przysłużyć. Nie przestawała więc zapewne prośbami i przedstawieniami zasypywać rodziców jednej i drugiej strony, dopóki wreszcie nie ulegli, godząc się na ten związek.

Ze wspomnień poety dowiadujemy się, że była to kobieta energiczna, usposobienia męskiego i do Lili szczerze przywiązana. „Jak się do tego wzięła—mówi Goethe—nie wiadomo; dość, że pewnego wieczora weszła do nas i rzekła patetycznie: „No, rzecz skończona. Podajcie sobie ręce!“ Stałem obok Lili i wyciągnąłem do niej dłoń, a ona powoli podała mi swoją. Odetchnąwszy głęboko, po chwili rzuciliśmy się sobie w objęcia.“ Nastąpiła więc najpierw, zgodnie z ówczesnemi obyczajami „deklaracja“ w początkach Kwietnia, w ślad za którą miały nadejść formalne zaręczyny. „Było to snadź wyrokiem Opatrzności—pisze Goethe—że w dziwnie zmienionych kolejach mego życia zaznać miałem i doli narzeczonego. Śmiało powiedzieć mogę, że dla mężczyzny niezsputego chwile narzeczeństwa stanowią jedno z najprzyjemniejszych wspomnień. Miła to rzecz wskrzeszać sobie w myśli owe uczucia, które trudno wytlomaczyć, a trudniej jeszcze określić słowami. Położenie poprzednie zupełnie ulega zmianie; przeszkody zostały usunięte, rozterki wyrównane. Niepowściągnięty popęd natury z jednej, nieublagane przestrogi rozsądku z drugiej strony, będące dotąd w ciągłej między sobą niezgodzie, łączą się teraz w przyjaznym porozumieniu.

Od owej też chwili wyraźna we mnie zaszła zmiana. Jeżeli ukochana była odtąd dla mnie piękną i ponętą, teraz stała się uzacnioną, jakby uświęconą. Miłowałem w niej niby podwójną istotę: wdzięk jej i krasa należały do mnie, ale wartość moralna, charakter pozostały jej własnością. Spostrzegłem to i ceniłem, jako kapital, z którego korzystać miałem całe życie.

A tymczasem coś się psuć poczęło w owym królestwie miłości. Przedewszystkiem pozwolenie rodziców bynajmniej nie wpłynęło na zmianę zapatrywań na ten związek ze strony krewnych i przyjaciół stron obu; im bardziej się zbliżał dzień wesela, tem niemożliwszem ono się wydawało. Narzeczony, który już jako starzec ze łzami opisywał w „Prawdzie i fantazji“ ową wiosnę uczuć młodzieńczych, nazywając Lili jedyną rzeczywistą swą miłością, począł w nowej tej dla siebie roli doznawać niemiłego uczucia. Przynajmniej z listów jego, pisanych w owym czasie narzeczeństwa do hrabianki Augusty von Stolberg, technie wszystko z wyjątkiem szczęścia i zadowolenia. Po przejściu pierwszych radosnych uniesień, sama myśl o zbliżającym się małżeństwie wytrącała go z równowagi, budziła w nim zastanowienie i uwydatniała różnicę warunków, na którą dotąd nie zważał. Położenie to doskonale charakteryzują wspomnienia poety. „Dawno to już nie bez zasady wyrzeczono, że nikt u szczytu swych pragnień długo utrzymać się nie zdoła. Zdobyte przez pannę Delf zezwolenie rodziców naszych uznano w milczeniu za obowiązujące, bez żadnych szczególnych ceremonij. Otóż ilekroć przedmiot idealny, a takim były niewątpliwie nasze zaręczyny, wchodzi w dziedzinę rzeczywistości, wnet następuje zwykłe przesilenie. Świat zewnętrzny bywa nieublagany i ma słusność, nie powinien bowiem praw swoich się wyrzekać. Ufność namiętności jest wielka, a mimo to widzujemy ją

\*) Pod tem przezwiskiem powszechnie znana była matka poety.

\*) Przekład Władysława Nawrockiego.

często rozbijającą się o rzeczywistość. Młodzi małżonkowie łączący się bez dostatecznych dóbr ziemskich, niechaj nie marzą o miodowych miesiącach. Niestety, grożą im nieniknione wymagania światowe, których niezaspokojenie młoda parę w niekorzystnym przedstawia świetle.

Dążąc poważnie do zdobycia sobie środków utrzymania, nie dostrzegłem na razie ich niedostateczności, do pewnego bowiem stopnia zdawały się wystarczającymi. Ale teraz, gdy zbliżało się dopięcie celu, spostrzegłem to tu, to owdzie pewne braki.

Złudzenie, którego namiętność tak chętnie się czepia, wystąpiło w całej swej bezpodstawności. By zapatrywać się trzeźwo na tę sprawę, należało ocenić szczegółowo moje położenie domowe. Wprawdzie rodzice moi myśleli widocznie o przyjęciu synowej, ale jakiego pokroju miała to być kobieta?

Poznaliśmy w samym końcu części trzeciej ową dziewczynę ładną, kochającą, rozumną, dzielną, równego zawsze usposobienia, mogącą być niby zwornikiem gotowego już sklepienia \*); lecz trudno było tać przed sobą, że pragnąc aby Lili była tym zwornikiem, należało chyba nowe zupełnie wymurować sklepienie.

Tymczasowo wprawdzie nie rozważyłem tego jeszcze, podobnie jak i ona; gdy jednak pomyślałem o wprowadzeniu jej do naszego domu, wydało mi się, że Lili nie byłaby tam na swoim miejscu. Przecież i ja, żeby się dostroić do modnego jej otoczenia, musiałem od czasu do czasu zmieniać ubranie; ale nie można było tak samo zmieniać urzędzenia naszej siedziby mieszcząńskiej, gdzie wszędzie staroświecczyzna budziła wspomnienie dość odległej przeszłości.

Zresztą nawet po udzielonem już zezwoleniu, nie mógł się między rodzicami naszymi zawiązać bliższy stosunek familijny. Różniło ich wyznanie, różniły zwyczaje towarzyskie; ukochanej zaś mojej w domu naszym, lubo dostatnym i przestronnym, byłoby może za ubogo.

Ku pocieszeniu w tych wątpliwościach, poczęto mi otwierać widoki na otrzymanie jakiejś korzystnej posady. Umysł ruchliwy wszędzie daje sobie radę, — zdolności budzą zaufanie. Zdaje się każdemu, że potrzeba tylko zmienić kierunek. Zarozumiała więc młodość znajduje posłuch, a talent uważa się za sposobny do wszystkiego, chociaż ograniczone tylko stawiać mu można wymagania.

W takiej właśnie przełomowej chwili, kiedy poeta pragnął się przekonać, czy bez Lili żyć może, gdy dręczący jakiś niepokój czynił go niezdolnym do wszelkich zajęć praktycznych — bardzo mu wypadło na rękę wezwanie Stolbergów, aby im towarzyszył do Szwajcaryi. Zachęcony w dodatku namową ojca, który nakłaniał go do tej podróży, zalecając przytem niepomijanie i Włoch, szybko się zdecydował. Bez pożegnania prawie, z lekka tylko o wyjeździe napomknawszy, rozstał się z Lili, o której mówi, że się tak zrosła z jego sercem, że oddalenie nawet rozłączyć ich nie mogło.

Zaraz w początku podróży odwiedził po drodze w Emmendingen siostrę Kornelię, która zażądała od niego stanowczego zerwania z Lili. Zdrożnem jej się to wydawało — mówi poeta — żeby młode dziewczę, o którego zaletach wysokie miała wyobrażenie, z atmosfery, jeśli nie świetnej, to w każdym razie bardzo ożywionej, wprowadzić do naszego domu, wprawdzie zaczęto, ale bynajmniej nie urządzonego na przyjmowanie licznych towarzystw; pomiędzy ojca życzliwego, lecz małowómnego i lubiącego poglądy swe narzucać, a matkę, nader skrzętną gospozię, która jednak, gdy po ukończeniu zajęć domowych zasiadła z jakąś robotką, lubiła, żeby jej nie przeszkadzano. Nie obiecałem nic — dodaje poeta — lubo przyznałem, że mnie przekonała. Odjechałem z zagadkowem w sercu uczuciem, które nieraz dla namiętności staje się podniętą.

Bo dziecię Amor upoczywie czepia się także Nadziei i wtedy jeszcze, gdy ta szybkim już krokiem oddalać się zaczyna.

Amor szedł istotnie z dziwną upoczywością w jego ślady — wspomnienie Lili nie opuszczało go ani na chwilę, nawet wśród najpiękniejszych szwajcarskich okolic. Rozkoszując się zachwycającym widokiem na jezioro, leżące w pobliżu Maria Einsiedeln, poeta uczucia swoje wyraził w naprędcie skreślonym czterowierszu, który przechował się w jakimś pamiętniku. Podajemy go w przekładzie:

Gdybym cię nie kochał, droga Lili,  
Jakże by mnie poił widok ten?  
Lecz gdybym nie kochał ciebie, Lili,  
Znikłby szczęścia sen?

Zwiedzając w Maria Einsiedeln opactwo benedyktyńskie, słynące z cudownego obrazu Najświętszej Maryi Panny, wprowadzony do skarbcza, zwrócił szczególną uwagę na szafę ze starożytnymi kosztownościami. „Były tam — opowiada poeta — różne korony misternej roboty złotniczej, a między nimi jedna ząbkowana wytworzonego rysunku i kunsztownego wykonania, w której nawet różnobarwne klejnoty powstawiane były w taki sposób, że tworzyły dzieło, robiące wrażenie artystyczne. W okolicznościach, w których sztukę raczej się odczuwa niż pojmuje, rodzi się łatwo chęć realnego spożytkowania podziwianych przedmiotów. Wyprosiłem sobie pozwolenie wyjęcia owej korony z szafy, a gdy ją tak trzymałem w ręku, przyszło mi na myśl, jakby to miło było ozdobić nią jasne zwoje główki Lili i przyprowadzić potem ukochaną w koronie przed zwierciadło. Scena ta, wykonana przez zdolnego malarza, przedstawiałaby się z pewnością jako wdzięczny bardzo obrazek i nie żałoby zostać królewiczem przy takiej królownie.“

Wraz z przyjacielem swym teologiem Passavantem, przez Szwyc wszedł Goethe na Rigi, a ztamtąd przez Biznau, Gersau, Altorf, Amstäg wdarł się w d. 22 Czerwca na szczyt Gotthardzki. Rysując tam, nabrał nagle chęci zejścia wiodącą ztamtąd na południe drogą na wymarzoną ziemię italską.

(Dokończenie nastąpi).

## Miłość moja...

Miłość moja jest, jak szkarłat róży,  
Atak pali, jak słoneczny krąg,  
Gdy w południe z za mgły się wynurzy,  
Morzem blasków świat obleje wkrag...

I jest miłość ma, jak sierp księżycy,  
A tak smętna, jak na grobie bluszcz,  
Co z marmurów stroi białe lica,  
Zinne płyty oraz martwy kruszc...

I jest, miłość ma, by pól przestrzenie,  
A tak tęskna, jako szumy zbóż,  
Które pędzi wiatru suche tchnienie  
Po nad ziemią, jak daleka — wzdłuż...

I jest, miłość ma, jak głąb jeziora,  
A tak ciągnie, jak rusalki dłoń,  
Gdy kapryśna i do psoty skora,  
Kusi siebie, byś wnet, zstąpił doń...

I jest miłość ma, jak pieśń skowronka,  
A tak prosta, jak fujarki ton,  
Gdy po łąkach, z rannym świtem słonka,  
Od rodzinnych płynie w przestrzeń stron...

I jest, miłość ma, jak Tatr wyżyny,  
A tak twarda, jak granitu głąz,  
Co nad wieńcem świerków sterczy siny,  
Wśród błękitnych atmosfery mas...

I jest, miłość ma, jak tęczy wstęga,  
A tak łączna, jak tych siedem barw,  
Które w sobie w uczuć deseń spręga,  
Niby struny archanielskich harf...

I jest miłość ma, jak pieśni wieszczka,  
A tak pełna, jak natchnienia chrzest,  
Który wszystko — wszystko w sobie streszcza:  
To, co było — będzie — i co jest!...

Wiktor Dzierżanowski.

## BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

III.

Wizyty Władysława i Anusi w Orzechowcach stawały się coraz częstsze. Dla Władysława stały się one już wprost potrzebą i przywykł czas liczyć na nie. Wspomnieniami tych odwiedzin żył po powrocie do Kamionki, nadzieją przyszłych wypełniał dni oczekiwania. Dni te — za wyjątkiem godzin spędzanych przy matce lub z ojcem przy gospodarce — schodziły mu na samotnych wycieczkach po okolicy. Szczególnie polubił las za łąką, przeszedł go wielką ilość razy wszereż i wzdłuż, bląkając się nieraz bez celu w zaroślach lub nad strumieniem, płynącym na dnie jaru w głębi lasu. W tych bląkaniach się postać Zosi była mu ciągle i wszędzie przytomną.

Oddawał się zawsze tej samej kołyszącej fali wrażeń, lecz chodziło mu teraz o zupełne uświadomienie stanu, w jakim się znajdował, pragnął określić jasno to uczucie, którego miał pełne serce.

— Czy ją kocham? — powtarzał sobie po tysiącu razy w tych swoich wycieczkach po polach i lasach, lecz nie mógł dotąd zdobyć się na pewną i jasną odpowiedź na to pytanie. Wprawdzie do rozstrzygnięcia pytania w ten lub ów sposób nie zmuszały go dotąd żadne warunki ani okoliczności zewnętrzne, mógł nie szukać na nie stanowczej odpowiedzi i nadal oddawać się uczuciu, nie nazywając ani określając go po imieniu; jednak zaczynała go już dręczyć ta nieokreśloność, ta niepewność stanu własnego serca, starał się więc zbadać go i nazwać właściwym imieniem.

— Czy to jest naprawdę wielka, głęboka miłość — pytał siebie. Ale ową miłość wyobrażał sobie jako uczucie gwałtowne, od pierwszej już chwili uświadomione i pełne, przychodzące od razu i nagle z falą uniesień, upojen i zachwyty — słowem, tak, jak mówi poeta:

„Tam ją ujrzałem! I wnet rozkochany  
Ze z tęczy wyszła i z potoku piany  
Wierzyć zacząłem — i wierzę do końca!...“

Tymczasem tu nic z tego nie było. Zaczęło się nie od zachwyty i uniesienia, nawet nie od wstrząsającego przy pierwszym spotkaniu wrażenia, lecz od zwykłej znajomości w salonie, znajomości, która nie będąc odnowiona, skończyłaby się może tylko miłym wspomnieniem, jak tyle innych. Pamiętał wprawdzie dobrze, że przy

\*) Poeta ma tu na myśli Annę Sybillę Münch, szesnastoletnią córkę kupca frankfurckiego, którą mu matka na żonę przeznaczyła i o której zaślubieniu myślał przez czas jakiś.



w okolicy. Teraz zdawało się, że pragnął przejść sam siebie. Wybijał hołubce tak mocno, że aż posadzka pod nim drżała, a na zawrocie okręcał swoją dąslerkę i unosił jak piórko.

Władysław spojrział na Zosię: wydawała się uszczęśliwioną i rozpromienioną, jak nigdy. Widać było, że taniec sprawiał jej wielkie zadowolenie, że czuła się w swoim żywiole. Twarzyczka jej pałała i uśmiechała, oczy iskrzyły się jak gwiazdki i zwracały się co chwila na twarz tancerza.

— Ależ ona wprost go kokietuje! — zabłysło Władysławowi w myśli i uczył w tej chwili jakiś piekący ból, który przenikał mu serce aż do głębi.

Pary przesunęły się przed nim w zawrotnym szale i po paru chwilach znów ujrzał przed sobą białą sukienkę i żółtego motyla.

Tym razem Zosia zdawała się jeszcze bardziej rozpromieniona; widać było, że taniec porwał ją i upajał. Zajęta całą tańcem i swoim tansem, nie spostrzegła Władysława, chociaż suknia jej dotknęła go w przelocie.

Władysław miał już nadto tego widoku. Czuł tylko, że mu coś zawrzało gwałtownie w piersi i że wprost się dusi.

Obok były otworzone drzwi do ogrodu. Szybko wyszedł przez nie i popędził wprost przed siebie ulicą w głąb ogrodu. Za nim gonila wrzawa zabawy i dźwięki mazura, które mu teraz boleśnie przewiercały uszy i jak jaszczurki kąsały serce.

Noc była lipcowa, ciepła i cicha. Po przez konary i liście drzew starych przezierniał wązki sierp już niepełnego księżyca, lejąc blade światło w aleję.

Biegł tak z początku bez myśli, a raczej z chaosem jakichś rozszalałych myśli w płonącej głowie, czując tylko ból, gryzący ból w sercu.

Powoli z tego chaosu myśli i wrażeń zaczęło wydobywać się jedno uczucie i myśl jedna, uczucie piekającej goryczy i złość przeciw sobie samemu.

— Ależem był głupi! głupi!... — powtarzał sobie przez zaciśnięte konwulsyjnie zęby — żem wierzył jej spojrzeń i uściskom ręki! A toż ona dziś sto razy ogniościej patrzy na tego grubasa, niż na mnie, a jutro gotowa jeszcze czulej wdzięczyc się do trzeciego. A tożem był głupi!...

I porwał go naprawdę tak szalony gniew na siebie samego, na swoją łatwowierność i ślepotę, że utonęły w nim na chwilę wszystkie inne uczucia, i ból i gorycz i żal do „zdradliwej“.

Czuł jak gdyby jakiś kamień, przytłaczający mu piersi. Począł gwałtownie i głęboko oddychać, mając wrażenie, że powietrze nie dochodzi do płuc.

Przebiegł kilka ulic i zatrzymał się nad staniem, w którego niezmaczonej powierzchni przegłądały się gwiazdy i księżyc. Powietrze było tu wilgotniejsze i świeższe. Z rozkoszą począł je wdychać i czuł, że sprawia mu to pewną ulgę. Powiódł parę razy ręką po płonącym czole, pragnąc je cokolwiek ostudzić.

Przyszło mu na myśl, że trzeba jednak wracać do salonu i bądź co bądź pokryć swoje wzburzenie. Postanowił nawet przetańczyć parę tańców z kimkolwiek bądź, byle tylko okazać panie Zofii chłód i zupełną obojętność. Czuł chęć sprawienia jej jakiejś wielkiej przykrości, zadania jakiegoś bólu, słowem potrzebę serdecznego zemśczenia się za doznana od niej gorycz.

Począł już wolniej powracać aleją ku domowi, czując, że myśl o tej zemście przytłumia cokolwiek w sercu ból dojmujący.

Nagle zatrzymał się i uderzył się w czoło.

— Jednak—czy ona to w istocie boleśnie od-czuje?—pomyślał w duchu: jeżeli się mizdrzy do każdego spotkanego i jeżeli jestem dla niej zupełnie obojętny, to co ją może obchodzić takie lub inne moje postępowanie?...

Myśl ta odjęła mu całą pociechę, jakiej szukał w zemście.

— Ha—pomyślał w końcu —zobaczymy, jak

ona to przyjmie. Będzie to właśnie doskonała próba jej uczucia ku mnie.

Wszedł do salonu, w którym skończył się był właśnie mazur i nastąpiła chwilowa przerwa między tańcami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Powracam do poważnego repertuaru Teatru Lwowskiego, w którym przed tygodniem zakończył występy gościnne jeden z najznakomitszych tenorów współczesnych, p. Aleksander Bandrowski. Trzeba było widzieć z jakim zapalem artyści wcielali się w przepyszne kreacje Wagnera, technice prawdziwą, głęboką poezją. Twórca w legendach i mitach szuka dla siebie natchnienia, bierze podanie ludowe o rycerzu i śpiewaku frankońskim, Tannhäuserze, i snuje o nim baśń czarodziejską z mocą dramatycznego poety. Postacie Wenery, pielgrzymów, zapasników turnieju śpiewaczego—wszystko to płynie w blaskach fantazji Wagnera, rozbrzmiewając cudnymi melodjami. Główną myślą opery jest walka zmysłowej natury człowieka z ideą, która prowadzi na wyżyny; to, co się dzieje w dramacie, umysławia się w muzyce: marsz pielgrzymów jednoczy się z melodią wydobywającą się z królestwa miłości nastrojonej Wenus, tworząc przepyszny obraz życia i Tannhäuser streszcza w sobie wszystkie znamiona myśli głównej i ogniskuje w sobie uwagę słuchacza. Dla artysty odtworzenie postaci tego bohatera przedstawia wielkie trudności, które nie każdy potrafi zwalczyć. Charakter Tannhäusera składa się z najróżniejszych pierwiastków, które trzeba w wykonaniu uwadzić nadzwyczaj subtelnie, uderzając w całą gamę uczuć od tklivych, miłosnych, do silnych dramatycznych. Ktoś powiedział, iż Tannhäuser Wagnera, to obraz człowieka niedokładnego w ogólnych zarysach swej istoty, mimo, że jego uczucia są podnioślejsze, aniżeli przeciętnego śmiertelnika, jego działanie śmielsze, a błędy większe; potyka się i upada, jak każdy, podnosi się, żałuje, działając — i działa, żałując tego, co czyni: tem, co działa, wzbudza sympatię, bo mimo błędów, widzimy w nim istotę ze szlachetniejszego kruszcu ulaną. Bardzo słusznie, ale, jeżeli tak jest, to artysta, który ma się wcielić w taką postać, musi zdawać sobie sprawę z zadań, jakie przed nim się piętrzą. P. Bandrowski zdaje sobie sprawę ze wszystkich psychologicznych tej postaci znamion, rozumie Tannhäusera i wie, jak tę figurę wyrzeźbić należy.

Trzebaby iść za artystą scena za sceną, gdyby się chciało oddać słowami to, co się uwadnia w ruchu giescie i dźwięku, przezeń rzucanym w przestrzeń. Upojeniem oddycha, siedząc u stóp Wenery i śpiewa o miłości z namiętnym uczuciem:

„Przyjm dźwięków głos, piękności ubóstwiona!..“

Każdy wyraz na ustach śpiewaka jasno się rysuje, nic się nie zaciera, a nic nie gubi. Frazes za frazesem płynie potokiem, wzbiera następnie liryzmem żalu i pragnieniem odkupienia czynów „przez łzy, pokutę i cierpienie“, gdy Tannhäuser cudem przeniesiony na pola Wartburga modli się do Matki Boskiej. P. Bandrowski z mistrzostwem doświadczonego artysty, stoi, jak posąg zapatrzony w niebo, aż się wyrwa z jego piersi fala uczuć czystych i idealnych. Wita Elżbietę z rzewnością, która za serce chwyta, ale wstrząsa do głębi słuchacza dopiero w opowiadaniu pielgrzymki do Rzymu. Tu już artysta wznosi się na najwyższe szczyty sztuki wokalne i staje przed nami, jako mistrz tej sztuki niezaprzeczonej i potężny.

Ulegliśmy mocy tego talentu pierwszorzędnej miary.

I poddaliśmy się już potem wrażeniu najzupełniej. P. Bandrowski w roli „Lohengrina“ ujarzmił słuchacza i znowu porwał. Rycerz św. Grała znalazł w artyście interpretatora, pełnego blasku. Lohengrin z krainy wyobraźni przeszedł w rzeczywistość prawdziwie poetyczną. Sama postać była narysowana przedziwnie, a pod względem wokalnym drgała nieograniczonym uczuciem.

P. Bandrowski wykazał cały kunszt śpiewaczy, który posiadał w stopniu najdoskonalszym. To nie był tylko udatny występ dobrego tenora, to była plastyka wybornego artysty, który wie, czego chce i dokąd dąży. Śpiew do la-będzia w akcie pierwszym świadczył najwymowniej o tym kunszcie arcymistrzowskim, jaki przed słuchaczami p. Bandrowski potrafi rozwinąć i zachwycić ich przepyszniemi szczegółami.

Dyrektorowi Hellerowi należy się szczerą wdzięczność, iż nam dał parę przedstawień Wagnerowskich z takim, jak Bandrowski, wykonawcą tytułowych partji.

Personel teatru lwowskiego w widowiskach tych dowiódł, iż na nim polegać można i że nie zawiedzie zaufania. Począwszy od solistek, a kończąc na orkiestrze—wszyscy wyszli z zadania zwycięsko.

Niejednokrotnie mówiłem na tem miejscu o rzeczywistym talencie p. Bohusówny; po przedstawieniach Wagnera jeszcze goręcej muszę pochwalić tę wyjątkową organizację artystyczną, umiejącą się przetrzącać z jednego rodzaju kreacji w drugi — z jak najlepszym skutkiem. Partje Elzy w Lohengrinie i Wenus w Tannhäuserze odznaczały się wybornem ich pojęciem i doskonałym uwadzeniem wokalnem.

W interpretacji tych ról p. Bohusówna wykazała niemały zasób poezji, którą czaruje. Wielka prostota gry i szlachetność traktowania partji sprawiają, iż każdy występ tej artystki jest dla zwolenników sztuki rzeczywiście miły. Niezbyt mocny głos śpiewaczki, dzięki wybornej emisji, wystarcza na największe zadanie. W postacie zaś operetkowej p. Bohusówna wlewa urok swojej własnej indywidualności, która pociąga na scenie wrodzonym wdziękiem i dystynkcją.

Nie każda scena może się taką pochlubić artystką...

W operach Wagnerowskich wystąpił znany basista, p. Jeromin, który zawsze śpiewem swoim wywiera potężne wrażenie. Gardło artysty wyrzuca dźwięki, jak najświetniejszy instrument; głos równy wylewa się prosto z tej doskonale zbudowanej i doskonale wyćwiczonej krtani.

P. Szymański, poważny artysta, śpiewa barytonem o brzmieniu metalowem, głębokiem. Romans „Do Gwiazdy“ w Tannhäuserze p. Szymański wykonał z ogromnym artystczem.

Czyż można, pisząc o wrażeniach, wyniesionych z teatru lwowskiego, zapomnieć o p. Kasprowiczowej? Jestto śpiewaczka, dla której niema dostatecznych słów uznania. Śpiew jej w Elżbiecie tętnił uczuciem, które wzruszało głęboko słuchacza. Dobrze się popisał, jako Walter w Tannhäuserze p. Malawski; zdziwił nas nawet ten młody, a bardzo muzykalny śpiewak, który nadzwyczaj ładnie frazował i subtelnie głosem partję koloryzował. Dobrze śpiewali także: p. Skalska i p. Paszkowska.

Dyrektor Jarecki pokazał, co umie: dzielny kapelmistrz prowadził chóry i orkiestrę doświadczoną i energiczną ręką — ani razu się nie w tem wykonaniu nie zachwiało, a chóry śpiewały czysto i dźwięczne, orkiestra grała zawsze strojnie.

Wystawa dzieł Wagnerowskich świadczyła, iż dyrekcja teatru lwowskiego na wszystko bacznie uważa o wszystkim pamięta i umie każdy efekt dekoracyjny dla widza ze sceny najpomyślniej wydobyć.

Od Wagnera do Offenbacha—droga daleka, lecz w teatrze Lwowskim z dziwną zręczno-

ścią umieją przebywać w ciągu jednej doby. Naprzemian z „Lohengrinem“ i „Tannhäuserem“ dawano tam „Orfeusza w piekle“—operetkę dawno w Warszawie nie wystawianą, a tak wystawionej, jak w teatrze lwowskim—nasi zwolennicy lekkiej muzyki nie widzieli tutaj nigdy.

Sluchając Offenbacha, przekonalismy się znowu, iż go nikt nietylko nie przewyższył, ale mu nie dorównał wcale. Twórca „Pięknej Heleny“, oprócz dowcipu, jakiego w operetce po za nim niema drugiego, dźwięczy taką melodią płynną i śliczną, że słuchacz wraz ze śpiewakami nuci sobie każdą arję i powtarza je sobie w antrakcie.

W „Orfeuszu“ jest ogromne bogactwo melodyi, która wciąż świeżo tryska ze źródła natchnienia kompozytora niewyczerpaną krynica. Trzydzieści lat minęło od czasu, jak w Warszawie śpiewano „Orfeusza“ i (świadczą to ci, co operetkę z owej doby pamiętają) bawiono się na nim tak, jak obecnie w teatrze lwowskim.

Śmiano się z przygód Orfeusza, co to ze skrzypcami w rękę szukał porwanej Eurydyki, (którą wtedy śpiewała p. Dowiakowska); śmiano się z bogów na Olimpie, że ulegają tym samym, co ludzie żądom. Wszystko w operetce drga dowcipem i swobodą, zarówno w librecie, jak i w muzyce—żaden z późniejszych twórców nie dorównał pod tym względem Offenbachowi. To też dzisiejsi słuchacze oklaskują w teatrze lwowskim Offenbacha i jego wykonawców z zapalem, łącząc oklaski z wybuchami szczerego śmiechu. Prześliczne dzieło Offenbacha zostało wystawione z przepychem. Dekoracje malownicze stanowią tło wyborne dla kostyumów stylowych i bogatych, które lśnią w promieniach elektrycznego światła. Oko się lubuje w tym kolorycie, pełnym urozmaicenia, gdy słuch wchłania w siebie z roskoszą melodye, wypływające jedna za drugą coraz śpiewniejsze i świeższe.

I znowu z wykonawców na pierwszym miejscu musimy wymienić p. Bohusównę, która odtworzyła Eurydykę z precyzją i najwytworniejszym smakiem. Był w tej grze styl, była w tym śpiewie artystyczna ekspresja, która każdemu frazesowi nadaje właściwy wyraz dosadny i wdzięczny zarazem.

P. Bogucki ma w interpretacji swej rozmach w grze i śpiewie, a wszystko w dobrym guście, z niemałym zasobem dowcipu. W jego sposobie gry jest oryginalne zacięcie i siła komiczna dobrego gatunku do operetki trafnie zastosowana.

Cenimy bardzo talent p. Kliszewskiej, artystki wysoce uzdolnionej; lecz w tym sezonie nie miała ona pola do popisu, tak się bowiem repertuar układał. Zawsze jednak artystka miła i sympatyczna potrafi się wyróżnić; tak się też stało z rólką Kupidyna, wykonanego z finezyą i werwą. Flora była p. Schupówna, młoda artystka wiele obiecująca; jest w tej świeżej sile temperament sceniczny, w którym widać iskiereki dzielnej w przyszłości operetkowej śpiewaczki. P. Miłowska, jako Djana, miała dużo wesołości; to także materyał na artystkę operetkową bardzo podatny. Wenerą była p. Hartigh, która trochę za spokojnie traktowała tę postać, wymagającą swobody. Wcielenie opinii publicznej powiodło się p. Bronikowskiej najzupełniej.

Johna wykonał p. Lelewicz, zawsze w dobrym będący usposobieniu: pozornie artysta utrzymuje ton poważny, co w rezultacie musi śmiech wywołać, bo stanowi dosadny kontrast z treścią śpiewu i sytuacji. Kuplet rozpoczynający się od słów: „Gdy w Beocyi mieszkał kraju“, był wykonany doskonale. P. Malawski, jako Orfeusz, zasłużył sobie na uznanie, traktował bowiem partyę ze starannością chwalebną. Dobrym Merkurym był p. Kratochwil. Bardzo komicznym Marssem był p. Kiczman. Tańce wypadły bez zarzutu. Całą operetkę prowadził świetnie prof. Słomkowski.

Teatr Lwowski i jego dyrektor, p. Ludwik Heller, pozostawiają po sobie w Warszawie wspomnienie najsympatyczniejsze; dają oni dowód, czem scena być może, jeżeli ją prowadzi rozumny kierownik, który potrafi wytrwale dą-

żyć do celów artystycznych. Niech do nas w roku przyszłym p. Heller ze swoją drużyną zawita znowu—znowym zapasem świeżych utworów.

Kampania operowa w Teatrze Wielkim zakończyła się w d. 31 Lipca, trwała więc okrągłe dziesięć miesięcy, w ciągu których wykonano 36 oper, wypełniono zaś wieczorów 184. Repertuar złożyły opery następujące: „Hrabina“, „Straszny dwór“, „Halka“, „Verbum nobile“, „Goplana“, „Cyganerya“, „Aida“, „Moc przeznaczenia“, „Carmen“, „Mefistofel“, „Dinora“, „Hugonoci“, „Faust“, „Faworyta“, „Trubadur“, „Ernani“, „Lohengrin“, „Eugeniusz Onegin“, „Rycerskość“, „Pajace“, „Hamlet“, „Rigoletto“, „Don Juan“, „Bal maskowy“, „Lucya z Lamermooru“, „Fra Diavolo“, „Otello“, „Żydówka“, „Cyruk Sewilski“, „Violetta“, „Mignon“, „Robert Dyabel“ i „Demon.“ Największe powodzenie miała „Hrabina.“

Czterech dyrektorów kierowało operami: Młynarski, Spettrino, Barcewicz i Podesti.

Według komunikatu dyrekcji opery, teatr warszawski zamierza w sezonie zimowym urządzić, pod kierunkiem p. Emila Młynarskiego, sześć koncertów symfonicznych: 17 Listopada, 8 Grudnia, 19 Stycznia, 9 Lutego, 2 i 23 Marca. W koncertach tych wezmą udział: pianistka Teresa Correno, śpiewaczka estradowa Kamilla Landi, skrzypek Sauret, pianista Gabryłowicz, najgłośniejszy dziś skrzypek Eugeniusz Yvaye i słynny pianista francuzki Pugno. Orkiestra składać się będzie z 80 osób. Czwarty koncert symfoniczny będzie poświęcony wyłącznie kompozytorom polskim. Na ostatnim koncercie symfonicznym będzie odtworzona dziewiąta symfonia Beethovena z udziałem chórów. Tak więc poważna muzyka w zbliżającym się sezonie zimowym, dzięki dyrektorowi Młynarskiemu, zapowiada się świetnie.

Aby wyczerpać w Ruchu dzisiejszym wszystkie szczegóły muzyczne wpływającego miesiąca, słów parę muszę zapisać na rachunek Doliny Szwajcarskiej, gdzie p. Winterstein kończy swój pobyt, uwieczony zasłużonym powodzeniem. Orkiestra jego wyćwiczyła się i zgrała bardzo dobrze, w kierownictwie zaś jej dyrektora znać inteligencję i smak prawdziwy.

Symfoniczne koncerty p. Wintersteina noszą na sobie piętno artystyczne i rzetelną powagę. Wagnera orkiestra dobrze pojmuje i wykonywa z siłą. Na jednym z ostatnich koncertów usłyszeliśmy symfonię patetyczną Czajkowskiego, odtworzoną bardzo dramatycznie. Nader interesującą była również suita Sibeliusa (nokturn, elegia, museta i ballada) lekka, dowcipna i melodyjna—lekkko i dowcipnie wykonana.

Bardzo się podobała „Noc w Lizbonie“ Saint-Saënsa.

W ogóle tedy zaznaczyć należy, iż nie możemy narzekać na sezon letni, mieliśmy bowiem wrażeń artystyczno-muzycznych w ciągu tego czasu—poddostatkiem.

A. Dobrowolski.

## Wrażenia ze Szwajcaryi.

„Luzerna! wysiadać!“

W olbrzymiej hali kolejowej zaledwie przecisnąć się można przez tłum śpieszący w tę i tamtą stronę; większość dźwiga okute kije i różne przybory zdradzające turystę, gotowego do dalekich wycieczek. Ogólny typ spotykanych w Szwajcaryi podróżników różni się wiele od typu gościa, bawiącego w eleganckich kąpielach morskich lub innych modnych „badach.“ Do Szwajcaryi przybywa się po większej części, aby widzieć, nie zaś aby być widzianym, strojne toalety pojawiają się tylko na zebraniach w kasynie albo wieczorem, w uiluminowanych, hotelowych ogrodach.

Położenie Lucerny jest przesliczne, lecz piękność owego położenia nie stanowi tyle wysookość gór i bliskość jeziora, ile nierównana rozmaitość okolicznych widoków. Mamy tutaj wszystko, naturę pełną życia i naturę martwą, surowo zakończony Pilatus i Rigi bogato w zieleni odziany, wysuwający po przez gęste lasy łomy czerwonego granitu. W budowlach zasianych u podnóża gór i na ich stoku też sama panuje rozmaitość. Pomiędzy hotelami strojnymi, pełnymi zgiełku i licznej służby, skromne, typowe domki szwajcarskie, pełne idyllicznego, pierwotnego wdzięku.

Życie w hotelach także różni się nieco od życia w innych kąpielowych ogniskach. Tu nie spotykamy prawie uprzejmego gospodarza, który chętnie uwzględni wymagania każdego ze swych gości. Tutaj trzeba spać jak inni, jeść jak inni, tutaj nikt nie może się wylamywać z pod ogólnego porządku, który nieraz podroźnych po prostu tyranizuje. Nie warto nawet występować z jakimś żądaniem, wychodzącym poza regułę, objętą przez „pension.“ Gospodarz wysłucha wprawdzie każdą reklamację z cierpliwością niewzruszoną, ze stereotypowym uśmiechem na ustach, skłoni się kilka razy bardzo nisko, lecz nie zmieni raz przyjętej zasady; z chwilą skończonej z gościem rozmowy już o jego żądaniach nie pamięta. Jeśli naprzykład, ktoś pozwoli sobie zażądać zmiany miejsca przy stole, t. j. przy table d'hôte, może być pewnym, że gospodarz w chwili rozpoczęcia obiadu poprowadzi go do tego samego miejsca, które zajmował poprzednio, a którego zajmować nie chciał.

Statki na jeziorach szwajcarskich mogą dać jak najpochlebniejsze pojęcie o „marynarce szwajcarskiej.“ Nietylko że są obszerne, lecz urządzone z uwzględnieniem wielkiej dla pasażera wygody. Statek sunie szybko po niebieskiej tafli wód i nieraz można zapomnieć o nadejmującej burzy, która częstym tu bywa gościem, tak się jest przejętym podziwianiu cudnej panoramy jeziora. Płyniemy. Jedna za drugą giną nam z przed oczu przesliczne wille, stanowiące niejako przedłużenie miasta. Pokazuje się Rigi w swej zielonej szacie, rozrzucone: Hertenstein, Weggis, Witznau, a domki porozsiewane w tych zielonych gajach wydają się zdaleka jak dziecinne przesliczne zabawki. Pozostawiamy po lewej stronie jezioro Küsnacht i statek przybija do wąskiego portu zwanego „Dwa nosy.“

Przyznać atoli muszę, że Szwajcaryja nie we wszystkim odpowiada mojemu o niej wyobrażeniu; zdaje mi się, że nawet Rigi przez wpływ turystów został niejako zmieniony, powiem oszpecony. Te piękne wille, aleje, na wyniosłościach, gdzie chciałoby się widzieć skaczące kozy alpejskie, psują niekiedy szerokie górskie krajobrazy. Szwajcaryja, której widoki należałoby, o ile tylko można, utrzymać w pierwotnej ich piękności, albowiem piękność ta jest nierównaną, w miejscach przeludnionych domami i pałacami straciła swój charakter. Jezioro o brzegach ubarwionych kunsztownymi klombami, podobnym się stało do jeziora w Lasku Bulońskim, może to jest kokieteryjne, ładne, ale nie dość poważne. Dla tego nierównie bardziej wolę jezioro Burgenstock, które statek pozostawia po prawej stronie i najczęściej nie raczy nawet o nie zawadzić. Brzegi tego jeziora są wiele posępniejsze, a jedyną tychże ozdobą są wysokie sosny, rosnące grupami. Tak tu cicho, spokojnie, że zdaje się, iż Burgenstock leży hen, daleko poza wodami jeziora Czterech Kantonów.

Śliczne są tu wioski: Gersau, Witznau i Weggis, bogate świeżością zieleni, jedna od drugiej bardziej malowniczo położona, tak, że niewiadomo której pod względem piękności położenia, oddać pierwszeństwo. Już to samo jezioro kapryśną swą formą ciągle szykuje niespodzianki, najwspanialszą zaś częścią jego jest część, nosząca nazwę jeziora Uri, pomiędzy Seelisbergiem i Axenbergiem. Tu już nie widać prawie śladu pracy rąk ludzkich, nie nie przerywa naturalnej dzikości krajobrazu. Z nabożnem przejęciem spoglądam na tę kolebkę wolności naro-

dowej. Miejscowości te są jakby olbrzymim sanktuarium najwznioślejszych dla Szwajcaryi wspomnień, na każdym kroku spotykamy tu pamiątki mówiące nam żywo o wielkich bohaterach.

Nagły świst maszyny parowej budzi mnie z zamyslenia, jesteśmy u krańca wycieczki, statek dobija do Flüelen. Omnibus czeka. Miejscowość, którą teraz przejeżdżamy, jest to najmuzycalsza część Szwajcaryi, ze wszystkich stron dochodzą chóralne śpiewy, a wszystkie brzmią na cześć kraju, we wszystkich dźwięczy nuta serdeczna i podniosłej miłości pełna. Pod wrażeniem owych śpiewów, przy zapadającym wieczorze, krajobraz w jakąś nową dziwnie poważną óblekł się szatę. W mroku zacierają się zarysy ludzkich mieszkań, zapomniałem o „pensions;“ — Rigi występował wspaniały, majestatyczny, natura obejmowała w posiadanie panoramę pejzażu.

\*

\*

\*

„Przebywałem powoli i pieszo przejścia niewygodne, prowadzony przez człowieka, którego wziąłem za przewodnika, a w którym podczas całej drogi znalazłem towarzysza i przyjaciela.“

Słowa te z „Nowej Heloizy“ żywo stanęły mi w pamięci, kiedy wstawszy rano, przyglądałem się szczytowi Pilatusa i dobrze wnioskując o pogodzie, zamierzałem wnieść się ponad „siedliska ludzkie.“ Dobra to rzecz nie robić, nie myśleć o troskach poziomych, a wznosić się coraz wyżej i wyżej, ku chmurom.

Dzisiejsze wycieczki nie mogą już być podobne do owych, przedsiębranych przed laty. Kij okuty i sandały noszone są bardziej, że tak powiem, dla dekoracji, aniżeli dla istotnego użytku. Dziś prawie wszędzie, a przynajmniej w blizkich od głównego ogniska miejskiego, spacerach, spotykamy się z drogami dobrze ubitemi, z udogodnieniami na każdym kroku; dziś do wielu wysoko położonych miejscowości, zamiast mozolnie dostawać się piechotą, zajeżdżamy koleją żelazną. Bądźmy jednak sprawiedliwi i nie żądajmy od lokomocyi parowej tych wrażeń, jakie otrzymujemy przy wycieczkach pieszych. Dostawszy się zaś na wyniosłość jakąś znaczną, zapominamy w jaki sposób wzniesiliśmy się tam, olbrzymi, niezmierny horyzont otwiera się przed naszymi olśnionymi oczami. Wtedy dopiero widzimy niezliczone dalsze i bliższe szczyty, jakby powyrastały z ziemi, poruszone ręką cudownego maszynisty. Jest tu cały las szczytów: czarne, szare, czerwone, to znów do znacznej wysokości pokryte gęstą zielonością. Jedne zakończone ostro, drugie tępo, albo jak olbrzymie kopy wielkiego, bizantyjskiego budynku, a wszystkie przepięknie wyglądają oświetlone ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Z trudnością rozstajemy się z tym widokiem i pocieszamy się tem, że niezadługo osiągniemy Kulm, o, widać już ztąd taras pod samym szczytem.

Rigi ma dwie zupełnie różne strony. Pierwsza bardzo uczęszczana, ta którą od razu spostrzegamy z Luzerny, a przy której położone są Weggis i Witznau. Strona ta, to Rigi wystrojony, pełen gwaru, ulubione miejsce zebrań Anglików, zastępujące niejako salę klubową, od rana do nocy rozbrzmiewające gwarą rozmaitych narodowości. Druga strona Rigi, ta, która bardziej mnie przypadła do smaku, o tyle jest spokojną a nawet samotną, o ile pierwsza zaludnioną. Ta jednak nierównie więcej posiada uroku w swej

pierwotnej, nieco dzikiej, lecz wspaniałej naturze. Jedyne kolej żelazna z Arth przerywa ciszę, umykając szybko i ginąc w gęstym lesie, jak gdyby zawstydzona obecnością swą tutaj.

Radzić możemy każdemu, kto wznosił się na Rigi przez Witznau, żeby schodził przez Arth. Godzina spędzona wśród lasów Frütli, albo przed szumiącym wodospadem Rotenfluh, może wzbudzić dla Szwajcaryi taki zachwyt, że zapomina się o wszystkim, co nas niemile raziło. Zanim zejdziesz się z wyniosłości, rzućmy okiem w stronę małego jeziora Lowerz. Krajobraz z tej strony ma jakiś dziwny wyraz głębokiej melancholii, jest jakby przejściem do doliny „Laz“ (Valée des Larmes), bardzo ztąd niedalekiej. Olbrzymie łomy skaliste, które w 1806 r. odegrały tak ważną rolę, leżą na swoich miejscach nieporuszone, jakby niemi świadkowie rozegranego tu dramatu. Roślinność, rozwijająca się przez lat tyle, nie zatarła jeszcze ich brutalnej grozy. Nagi szczyt Rossbergu, wznoszący się w głębi tego smutnego obrazu, powiększa jeszcze przejmujące wrażenie, zdaje się, że cała góra grzmi dotąd odgłosami strasznego zniszczenia, a mgła unosząca się z doliny, wyobraża doskonale obłoki dymu, które wówczas zasłaniały wszystko.

„O góry, ile żęście widziały okropnych historij!

Śpiewają pasterze alpejscy.

Zegnamy Luzernę i ową najbardziej w historyczne pamiątki bogatą część Szwajcaryi i śpieszymy dalej. Być może, iż wyobraźnia nasza dorzuci wiele uroku kolebce Wilhelma Tella, — jezioro Czterech Kantonów, dolina Rütli, okoliczne szczyty, żyją w naszej pamięci nietylko przez własną swą istotną piękność, lecz i przez czar poezyi, jaki się do niej wiąże, przez nieśmiertelne *Contemplations*, zawsze jeszcze nowe i niezrównane.

Oparci o balustradę statku, przesyłamy ostatnie spojrzenie Luzernie, Pilatus znika, a płynąc po niebieskich wodach, przypominamy sobie słowa Schillera, tak cudnie opiewającego w Wilhelmie Tellu jezioro Czterech Kantonów. Statek skręca, za chwilę widać znowu Pilatus i Burgenstock, które zdają się być tak blisko siebie, jakby stanowiły jedną ścianę. Cały krajobraz utonął w dali, zdaje się, że nas góry pochwyliły w zasadzkę.

To natura w ten sposób kokietuje niedoświadczone oko podróżnika, zasłania wszystko nie-

przeniknioną ścianą zieleni, aby za chwilę jak w czarodziejskiej bajce, nowe, a coraz piękniejsze wywoływać obrazy.

Oto wypływamy na jezioro Alpnach. Czyste jego wody mieniają się jak opal tysiącami błaskami w świetle zachodzącego słońca. W dali widać rozrzucone domostwa wioski, otoczone kwieciami i zielenią, z prawej strony raz jeszcze wylaniają się zarysy Pilatusa, z lewej łagodny stok góry Stanserhorn. Charakter krajobrazu tak łagodny, niezmiernie rzadko spotyka się w Szwajcaryi, usposabia do ciszy i do marzeń i w bezwiednym milczeniu przybywamy do Alpnach.

*Pilatusbahn*, czytamy napis, wymalowany wielkimi literami na brzydkim, pretensjonalnym budynku, przylepionym do podnóża tej góry. Przybyliśmy w dobrą chwilę, albowiem ostatni pociąg był już odjechał i zgiełk kolejowy nie przerywał nam uroczej ciszy.

Wioska do której przybywamy jest prześlizną. Czystość idealna w połączeniu z malowniczością położenia, prawdziwie poetyczną tworzy tu sielankę. Zdała dochodzi odgłos licznych dzwonek, to bydelko wraca do swych zagrod. Mrok coraz ciemniejszy zapada, zdaje się, że już, już, ciemność ogarnie wszystko, gdy w tem wierzchołek Rigi zapala się jakby łuną pożaru i wszystkie szczyty w około poczynają gorzeć. Ognista smuga biegnie dalej, dalej, ostre zarysy gór obwodzi wązki język płomienia. Po jakimś czasie ognie te z wolna gasną, kontury czernieją, a nad wszystkim panują białe masy lodowców i śniegów. Jest to widok tak wspaniały, że chwilę tę śmiało zaliczyć można do najrzadszych i najpiękniejszych, jakie się w Szwajcaryi przeżywa.

Noc przebywamy w Alpnach, aby nazajutrz wyruszyć dalej. Wieczorem mamy być w Merdingen.

Zetes.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 4 i 5.

Nakładem Michała Glücksberga, Wydawcy Bluszczu wyszła z druku książka p. t.

## Z MARZEN ŻYCIA

POEZYJE

SELIMA

(Władysława Bukowińskiego).

Cena egzemplarza rs. 1 k. 20, pocztą rs. 1 k. 30. Do nabycia u Wydawcy i we wszystkich księgarniach.

**Treść:** Na werendzie. (Pogawędka), przez ?? — „Lili“ Goethego. Kartka z życia poety (dalszy ciąg). — Miłość moja..., przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego. — Wrażenia ze Szwajcaryi, przez Zetesa.

**Dodatek obejmujący:** *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 4 i 5. — Przegląd mód. 38 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja obiadu.



## Przeгляд M6d.

Szlafroczi.—Matinki.—Suknie domowe.—Czepeczki.—Bielizna.—Pończochy.

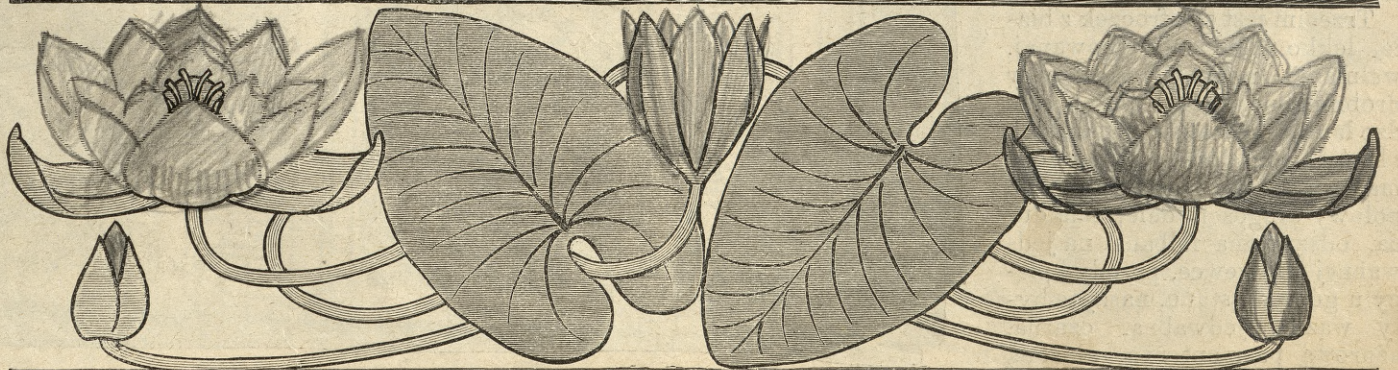
W tej chwili jeszcze panuje skupiona, przedwczesna cisza. Prawie wszyscy właściciele naszych większych firm, mających związek z modą, przebywają po zagranicami kraju, a przeważnie w nadsekwąńskiej stolicy, i dopiero za parę tygodni, magazyny będą obfitować w nowości sezonowe, jak: kapelusze, okrycia i materyały.

Z obowiązku kronikarki trzeba zapełnić szpalty „Bluszcza“ pogadanką ze świata mody i na szczęście jest zawsze o czym pomówić. Tym razem wygoda i dystynkcyja będą nas zajmowały, gdyż chcę zacząć opisem przesłanicznych modeli szlafroczków i matinek, tych wygodnych, miłych i zazwyczaj skromnych, domowych sukienek, bardzo mało ulegających wpływowi mody, a jednak zawsze z nią związanych.

Bardzo ładnym i pełnym miłego wdzięku domowym ubraniem jest suknia z różowego, lekko krepowanego materyału, przybrana grubą, białą gipiurą i atlasowemi, różowemi wstążkami. Model bardzo awantażowny dla szczupłej osoby, składał się z marszczonęj bluzy, przyszytej do gipiurowego karczka, wokoło szeroką bertą z gipiury objętego. Dół zakończony wysoką falbaną. Rękawy obcisłe, lecz całe namarszczane; w talii wiązanie z atlasowej wstążki. Szyja wykończona koronką i wstążką, z której są również wykonane kokardy, umieszczone na przodzie i na ramionach.

Drugi model, składał się z sukni, wykonanej z lekkiej flanelki koloru cerise. Spódniczka w drobne zakładki, naszyta do połowy, dalej wolno puszczone, tworzy falbanę, grubą szeroką białą gipiurą zakończoną, z wierzchu tiunika w dwa okrągłe zęby ścięta, objęta na płasko gipiurową koronką. Staniczek obcisły, z boku pod haftem na wierzchu zapięty, z karczkiem w drobne zakładeczki ułożonym, a wokoło objętym koronką tej szerokości, co i u dołu spódnicy. Rękawy obcisłe, przez środek naszyte wstawką z gipiury. Kołnierzyk stojący, udrapowany z szerokiej, atlasowej wstążki „cerise.“ Od boków w talii, dwie długie wstążki, związane w kokardę są z przodu rzucone. Riusza z tyłu i zakończenie u rękawów z gipiurowej koronki.

Trzeci model a może najładniejszy, tworzył śliczną sukienkę z popeliny koloru „parme,“ formą dziś bardzo używaną t. z. „princesse,“ z karczkiem z białego jedwabnego haftu, wokoło objętym falbaną z plisowanego, białego, jedwabnego muślinu. Wstążka ciemno-fioletkowa atlasowa obejmowała karczek na przodzie, a z tyłu zakończona była dużą „choux.“ Na przodzie zaś od góry od kołnierza wstążka przechodziła skośnie na boki, tworząc pasek, zapinający się z tyłu na ładną klamerkę. Rękawy i kołnierzyk miały wykończenie ze wstążki i gazy.



Nr 1. Kostium wiosłarski z kaftanikiem bolero.

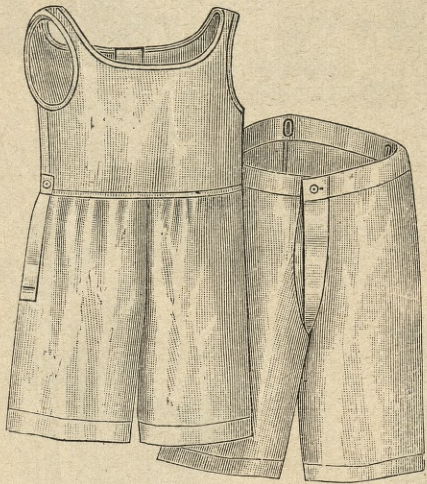
Nr 2. Kostium z angielskiego płótna.

Nr 3. Suknia z piki w kratkę.

No 4 Kostium angielski, przybrany guziczkami.

Nr 5. Kostium wiosłarski z odmienną bluzką.

Co do szlafroczków, to trzy bardzo ładne modele chcę tutaj opisać, gdyż się wyróżniają od powszechnie przyjętego fasonu. Pierwszy wykonany z ponsowego fularu Liberty, z karczkiem z białej gipiurowej koronki, cały wolno puszczony, a mimo to obcisły, gdyż puszczona bluza od karczka, jest zaszyta w drobne zakładeczki, a dopiero od kolan spływa szeroko w wolnych fałdach, mając dół wokoło przepikowany, a od spodu podszyty suto drobno plisowaną falbanką. Rękawy są zupełnie obcisłe i zupełnie całe w drobne zakładki za-



Nr 7 i 8. Majteczki dla chłopca od 3—4 i od 6—7 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 110—113).  
Opis w Bluszczu Nr 34.

szywane. Wokoło karczka upięta szarfa dosyć szeroka, z białego, jedwabnego muslinu puszczona na przodzie w dwa podwinięte końce. Kołnierzyk z atlasu w zakładeczki ułożony i wykończony z tyłu riuszą z białej gazy i takie same wykończenie u dołu rękawów. Jak widzimy modelowi temu należy przyznać zupełną oryginalność fasonu.

Do nowych pomysłów należy również śliczny szlafroczek z różowego, lekkiego kreponu, krajany prosto. Od góry do połowy wysokości piersi zaszyta jest bluza w drobne zakładeczki, dalej wolno puszczona i od samej góry zapięta na ładne, fantazyjne guziczki. Plecy obcisłe jak u princess'y u dołu się rozszerzają. Plecy do stanu i część przodów w zakładki, nałożone są



Nr 6. Kaftanik do czesania z haftowaną falbanką. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 71—78).  
Opis w Bluszczu Nr 34.



Nr 11. Jedwabna spódniczka (Forma zmniejszona odwr. str. tabl. fig. I i II). Opis w Bluszczu Nr 34.

cy pasek, wykonany z materiału, jak również i kołnierzyk, naszyte pasmanterią i zapięte kryto na hafteczki. Rękawy koszulowe, u góry w ten sam desień pasmanterią trzy razy naszyte, mankiecik u dołu zakończony także pasmanterią. Odszycie falbany u góry naszyte pasmanterią na gładko, dół zaś trzy razy w desień. Od spodu falbana podszyta plisowaną, wąską falbanką z czarnej taffetas. Tego samego fasonu i z tego samego materiału wykonany szlafroczek z przybraniem z żółtych, wąskich, atlasowych wstążeczek, również był śliczny.

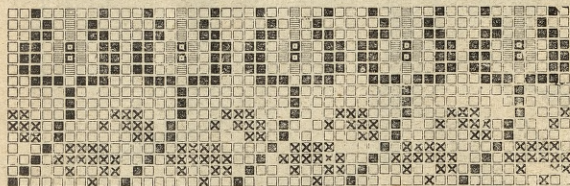


Nr 9 i 10. Kaftanik jesienny dla dziewczynki od 3—4 i 8—9 lat. (Kr. i desień odwr. str. tablicy Nr IX, fig. 79—90). Opis w Bl. Nr 34.

Matinki tego roku przybrały charakter bluzkowy, mniej wygodny, a to dzięki obcisłym rękawom, które moim zdaniem, pomimo mody, usunęłabym z każdego wygodnego, domowego ubrania. Przody i plecy są zwykle albo w drobne zakładeczki zaszywane, albo ułożone także z zakładek, albo przecinane wzdłuż wstawkami z haftu lub koronki, a nadto niekiedy opatrzone dużymi, śpiczastymi kołnierzami, z tyłu zapinanymi.

Karczki zostały prawie zupełnie odrzucone i nie modne. Zresztą panuje tu bardzo wielka rozmaitość, dopuszczająca na wszelkiego rodzaju kombinacje i fantazyje.

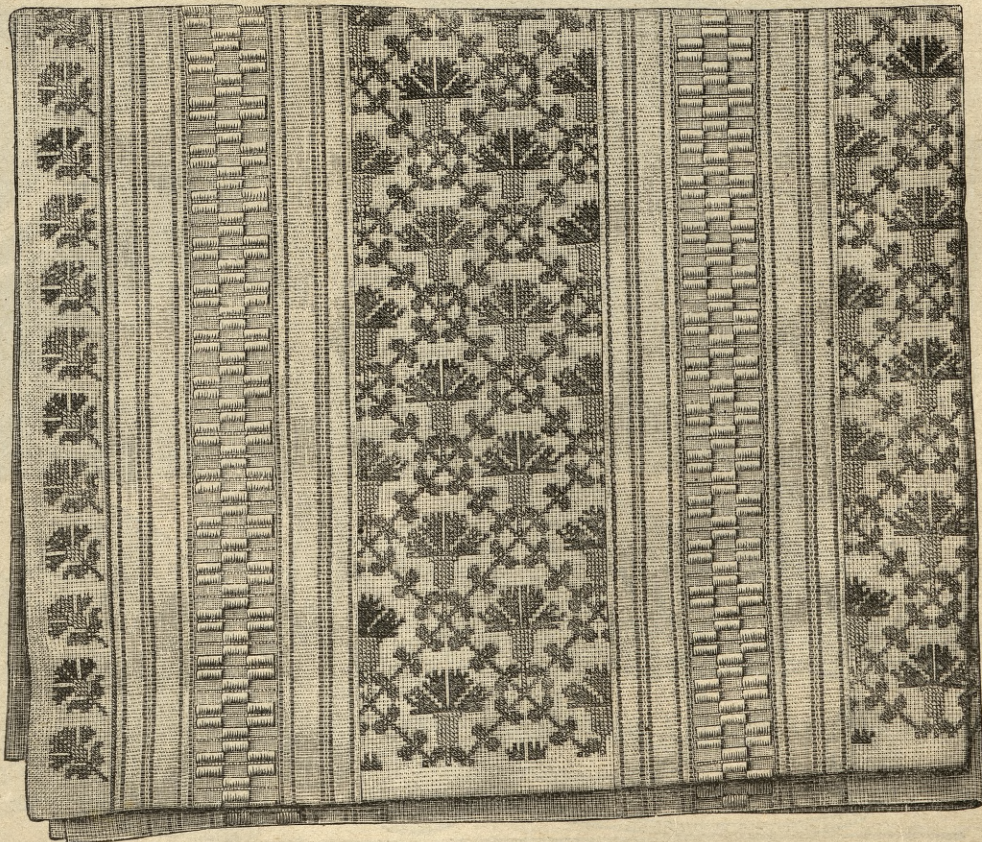
Halki i białe spódnice zajęły bardzo ważne miejsce w tualecie, a to dzięki powłóczystym



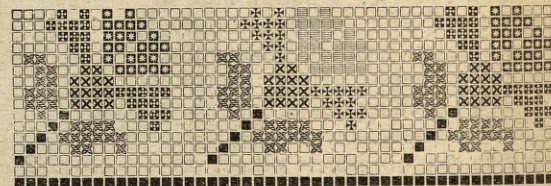
Nr 12 Szlaczek krzyżową robotą do ubrań dzieciennych.

kremową, gipiurową koronką, tworząc rodzaj bolera na krzyż z boku na duży guzik zapiętego, a u szyi z przodu i na plecach podłużnie wyciętego. Rękawy obcisłe są również całe koronką nałożone. Kołnierzyk stojący drapowany z wysokimi uszami. Na połowie długa bluza, naszyta w grecki desień szeroką koronką z gipiury. Całość bardzo efektowna. Szlafroczek ten, jak również i pierwszy należał do wyprawy.

Trzecim jest szlafroczek z białej, lekko zaledwie kremowanej, wełnianej, miękkiej tkaniny w drobnuchne prążki. Fason bardzo ładny składał się z obcisłych pleców i przodów lekko od góry marszczonych, puszczonych do połowy długości; dalej szła duża, odszywana falbana na jedwabnej podszewce, przody i plecy u góry do stanu, naszyte były wąską, jedwabną, czarną, ażurową pasmanterią, ułożoną w desień w śpiczaste, ciągnące się wokoło zęby. Od boków idą-



Nr 14. Kołdra, ozdobiona szlakami krzyżową robotą. (Deseń patrz ryc. Nr 13 i pierw. str. tabl.).



Nr 13. Szlaczek do ryc. 14, stosowny też do ubrań dzieciennych.

sukniom, jakie musimy unosić w górę. Zapanował też zbytek niebywały w tej części ubrania, i czasem ładna halka tyle kosztuje, co wierzchnia sukienka. Przy dzisiejszej obcisłości sukien, halki u góry krają się bardzo wąskie, w dole zaś odcinane suto falbany zwykle się jeszcze mocno garnirują.

Uzupełnieniem rannego stroju dla młodych i starszych mężatek są czepeczki, jednak przez młode osoby dziś mało używane, a natomiast cieszą się względamy małeńkie, jedwabne chusteczki, związując włosy z wierzchu głowy ułożone. Chusteczki te związują się w wystające rogi, co gdy zręcznie jest wykonane, bardzo ładnie wygląda. Natomiast starsze osoby od dawna zaadoptowały czepeczki, a forma ich rozmaite koleje mody przechodzi. Obecnie zamiast dawniej powszechnie noszonych „chłopek,” przeważnie noszą panie, czepeczki alzackie, w szerokie kokardy na przodzie zaopa-



Nr 15 i 16. Pelerynka jesienna dla dziewczynki od 7—8 i od 10—11 lat.  
(Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13—21).

trzone, lub też małe, okrągłe czepeczki, wokół ruzszką i wstążką objęte, albo nawet związują tylko białe, lub czarne, podłużne koronki.

Bielizna kolorowa coraz więcej zostaje zarzucona, była to zresztą fantazyja kosztowna a nie praktyczna. Pranie jej wymagało dużo zachodu i starania, boć lada niedopilnowanie służby przy praniu niszczyło kolor i rzecz nieraz nową czyniło niezdatną do użycia. Obecnie biały batyst, płótno i madapolam cienki, są najwięcej używanymi materiałami na bieliznę. Pończochy czarne nie są już tak powszechnie a nawet konieczne przyjętymi, jak dawniej. Tu również praktyczność wyrugowuje je z mody, gdyż farba czarna jest tak nietrwała, że niepodobna jest mieć za jednorazowym niemal użyciem pończochy całej na nogach. Ztąd zaczęły panie używać pończoch kolorowych i ta moda zdaje się zdobyć sobie panowanie. Tylko białe pończochy poszły w zupełne, bezpowrotne zapomnienie.  
*M. Ch.*

#### Kostium wioślarski z kaftanikiem bolero.

Rycina Nr 1.

Spódnica i kaftanik „bolero“ z wełnianego, białego materiału „serge“, bluzka



Nr 26. Sukienka dla dziewczynki od 11—12 lat.

z białej flanelki w ponsowe paski. Gładką spódnice obcisła w stanie biały, skórzany pasek, zapięty na złożoną klamrę. Kaftanik spięty na dwa złote guziki, osztyt wokół gipiurą przybiera kołnierz wykładany, również pokryty gipiurą. Rękawy przybrane odpowiednio. Okrągły, biały, filcowy kapelusik, opasany białą, rypsową wstążką, dopełnia całości.

#### Kostium z angielskiego płótna.

Rycina Nr 2.

Przybranie kostiumu stanowią głównie stebnowane plisy z tegoż materiału. Od przodu, wokół spódnicy tworzą duże zęby, środkiem zaś przodu plisa przykrywa zapięcie. Stanik naszyty plisami w rodzaju szelek spinają patki, wchodzące jedna na drugą. Guziki kryształowe. Wokół okrągłego wycięcia u szyi wyłożony jest kołnierz, przykryty gipiurą. Wycięcie wypel-



Nr 17 i 18. Neglizowa i nocna koszula dla panów.  
(Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 22—27).  
Opis w Bluzczu Nr 34.

opasuje granatowa aksamitka, związana z przodu na kokardę.

#### Przykrycie na łóżko, ozdobione krzyżkowymi szlakami.

Rycina Nr 14 i 13. (Deseń pierw. str. tabl.).

Na materiale żółtawym „Aida“, szlaki wyszyte lśniącą, kolorową bawełną, nadzwyczaj efektownie wyglądają. Odstępy pomiędzy szlakami 22 ctm. szer., wypełnione są mereszka i słupkami, wykonanymi atłaskowym ścięciem. Cała kołdra 2 metry długa, 1 metr i 65 ctm. szeroka, zakończona jest wokół szerokim, gładkim obrębem. Szersze szlaki wykonywa się podług deseni wskazanego na pierw. stronie tablicy. Węższe szlaczki przy brzegach podług ryc. 13. Węższy szlaczek użytym być także może do ubrań dziecińczych.



Nr 19—25. Chustki do nosa, koszula dzienna, gorsy i kołnierze  
(Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 28—37).

nia batystowa szmizetka z wiązaniem krawatem. Rękawy przybrane odpowiednio do spódnicy.

#### Suknia z piki w kratę.

Rycina Nr 3.

Spódnica i kaftanik z piki białej w niebieską kratę. Spódnica oszyta wysoką, z przodu w ząb wyciętą falbaną. Kaftanik zakończony z przodu w spiczaste zęby, przybrany potrójnym, wykładanym kołnierzem z białej piki, otwiera się na drobno plisowanej bluzce z ponsowego „taffetas“. Kaftanik spięty jest na dużą kokardę z ponsowej wstążki.

#### Kostium angielski, przybrany guziczkami.

Rycina Nr 4.

Kostium z sukienka „vieux rouge“ składa się: ze spódniczki, przybranej stebnowanymi pliskami z tegoż materiału i dwoma rzędami drobnych, złożonych guziczków, schodzącymi na 12—15 ctm. poniżej stanu i z bluzkowego staniczka, naszytego również stebnowanymi pliskami, pomiędzy którymi ciągną się rzędy takich samych, jak na spódniczce guziczków. Staniczek opatrzone wylogami, wyszytymi materiałem, otwiera się na kamizelce z materyi „écru“, poprzecznie plisowanej. Kołnierzyk stojący spina duża kokarda z gazy. Przody stanika krajane są w ten sposób, że tworzą odrazu epolety na rękawach.

#### Kostium wioślarski z odmienną bluzką.

Rycina Nr 5.

Spódniczka gładka z granatowej alpaki, bluzka z białej flanelki „lawn-tennis“. Przybranie bluzki stanowią zakładki, ciągnące się wzdłuż bluzki z przodu i z tyłu, w rodzaju szelek. Wykładany kołnierz schodzący jak epolety na rękawy i rozcięty na plecach i z przodu, również wykonany jest zakładkami. Rękawy przybrane są zakładkami przy ramieniu i przy rękę. Zgrabny, okrągły, biały, filcowy kapelusik,



Nr 27. Ubranie fularowe.

### Modne chustki, koszule dzienne i kołnierzyki dla panów.

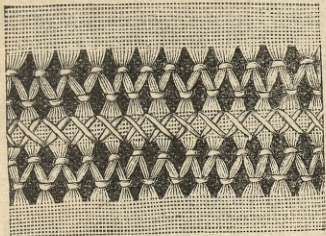
Rycina Nr 19—25. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 23—37).

Koszula z cienkiego batystu w kratę, z kołnierzykiem z białej weby, gors ułożony ma w zakładki szerokie. Kołnierzyk podwiązany jest małym, atłasowym, czarnym krawatem. Koszule białe, gorsy z batystu, ułożone mają w poprzeczne, lub podłużne zakładeczki, przedzielone środkiem kilkoma szerszymi, podłużnymi zakładkami z weby, opatrzone dziurkami do spinek.

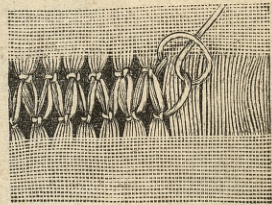
### Sukienka dla dziewczynki od 11—12 lat.

Rycina Nr 26.

Spódniczka gładka, pięć razy w dole naszyta białą taśmą. Bluzka z przodu przybrana skośnem nieco szamerowaniem z taśmy, naszytem na oddzielnym przodzie, tworzącym rodzaj kamizelki. Przód ten u szyi wycięty jest podłużnie i podłożony szmizetką z haftowanych wstawek i batystowych



Nr 29. Szałczek ażurowy do bielizny pościelowej. Zwiększony. (do ryciny Nr 30).



Nr 30. Sposób wykonania szalczku ażurowego.



Nr 28. Gałązka haftowana do ryciny Nr 31.

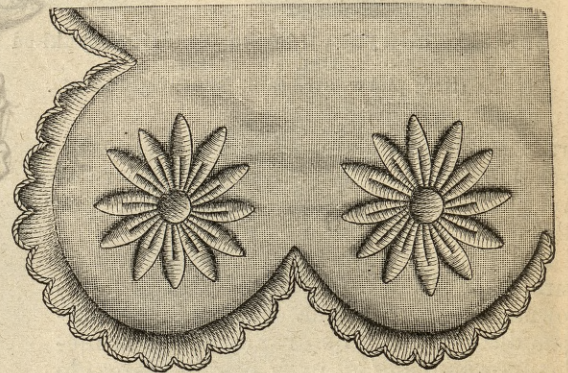
## PRZEPISY GOSPODARSKIE.

### KULKI DO ZUP OWOCOWYCH.

Trzy łyżki mleka, 2 łyżki sklarowanego masła razem zagotować. Na gotujące się wsypać 2 duże łyżki pięknej mąki wymieszać i wyrobić na ogniu, żeby od rondla odstawały. Wtedy zdjąć, wystudzić dodać 3 całe jaja, szczyptę soli i dobrze ubić. Mieć w rondlu rozpuszczone masło, a gdy się zagotuje, robić z przygotowanego ciasta małe kulki, rzucać na masło i smażyć, aż się zarumienią.

### MARCHEW DUSZONA.

Wykwintną i doskonałą jarzyną jest marchew,



Nr 32. Szałczek haftowany do powłóczki. Wielkość naturalna.

zakładeczek. Rękawy przybrane są odpowiedniami do szmizetki mankietami. Pasek z materiału sukienki, naszyty białą taśmą. Wskazano tu sukienka wykonaną była z białego szewiotu, równie jednak dobrze użyć można szewiotu granatowego.

### Ubranie fularowe.

Rycina Nr 27.

Materyał: fular niebieski w duży, biały desen. Spódniczka zakończona dwiema falbankami, zakończonemi riuszką z białej gazy. Luźno spływająca tiunika wokoło zupełnie równa, także oszyta riuszką z gazy, tworzy trzecią falbankę. Bluzkowy stanik, przybrany wykładanym, w zęby wyciętym kołnierzem. Rę-

kawy długie, gładkie, oszyte tylko przy rękę riuszką. Stan obciśnięty białą wstążką, związaną z boku na kokardę z długimi końcami. Kapelusz z białej słomy, podszyty plisną z ciemnoniebieskiego aksamitu i związany pod brodą na białe wstążki.

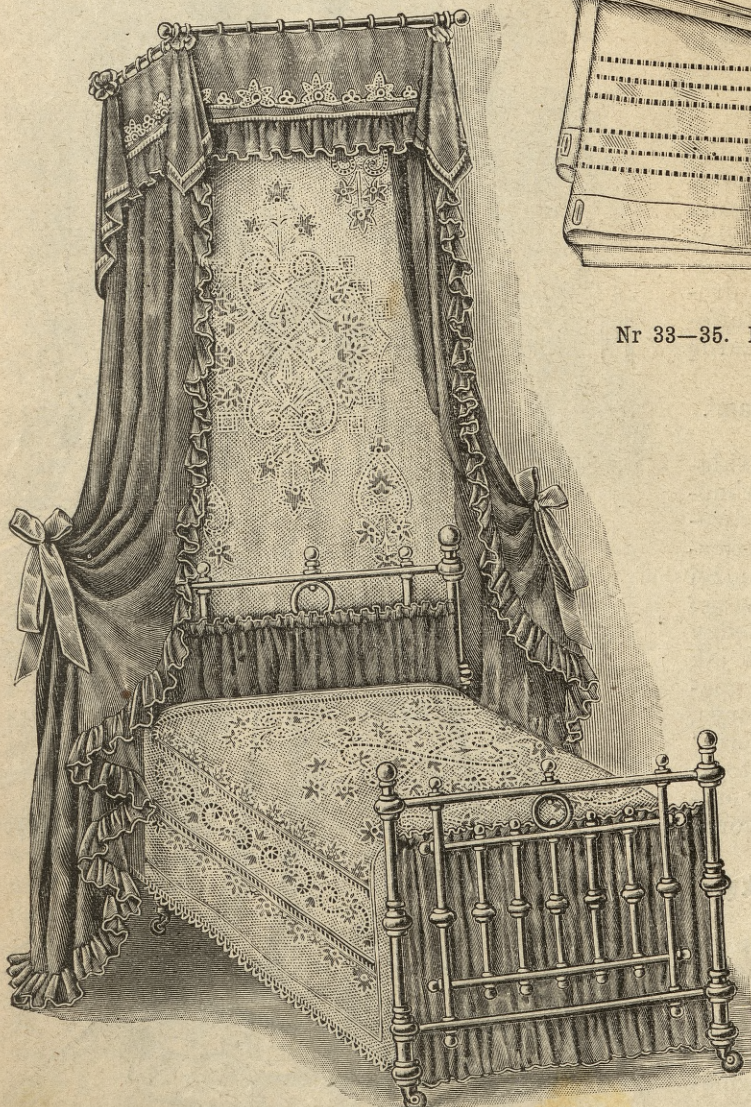
ugotowana bez wody. Po oskrobaniu pokrajać marchew w prążki, położyć na misce, pocukrować mialkim cukrem, posolić i pozostawić tak 3 godziny, aby sok puściła. Wtedy włożyć w rondołek, dodać młodego masła, stosownie do ilości użytej marchwi, licząc na 6 średniej wielkości marchwi łyżkę masła, rondołek przykryć na średnim ogniu, często mieszając. Młoda marchewka udusi się za godzinę, starsza potrzebuje dwóch godzin.

### OBIAD NA NIEDZIELĘ.

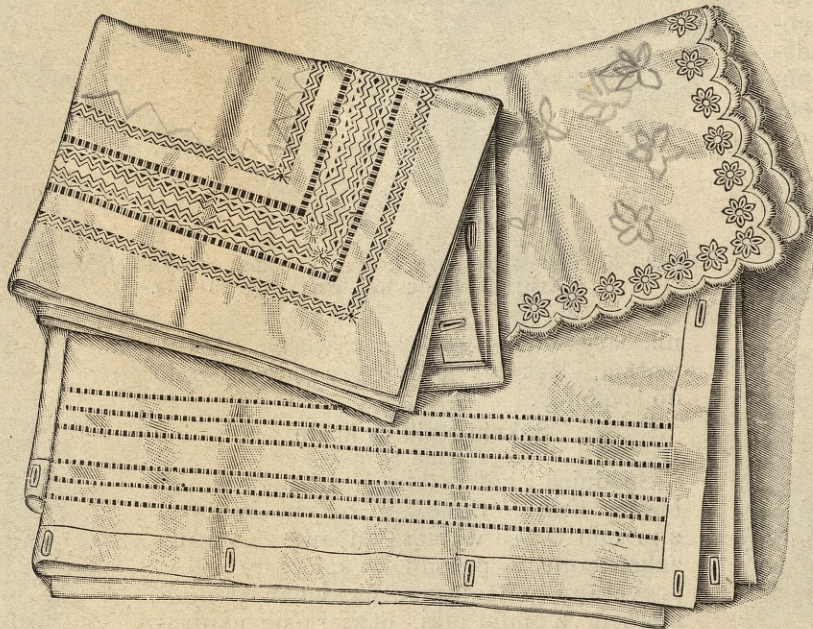
1. Zupa purée z zielonego groszku.
2. Paszteciki z pieczarek.
3. Kotlety baranie z pomidorowym sosem.
4. Kalafiory z masłem.
5. Kurczęta z kompotem.
6. Krem z brzoskwiń.

### UWAGA.

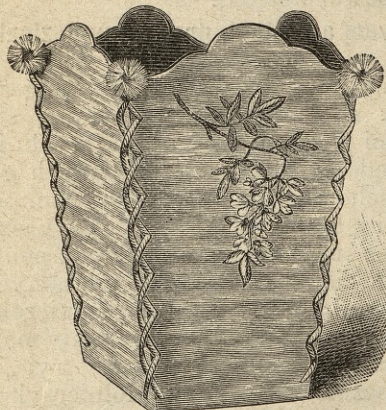
Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”



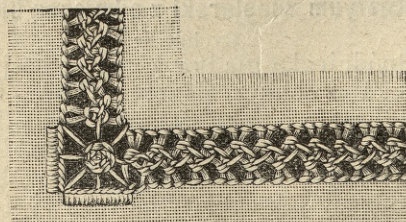
Nr 36. Modne przybranie łóżka, oraz przykrycie. Aplikacja na tiulu. (do ryciny Nr 38).



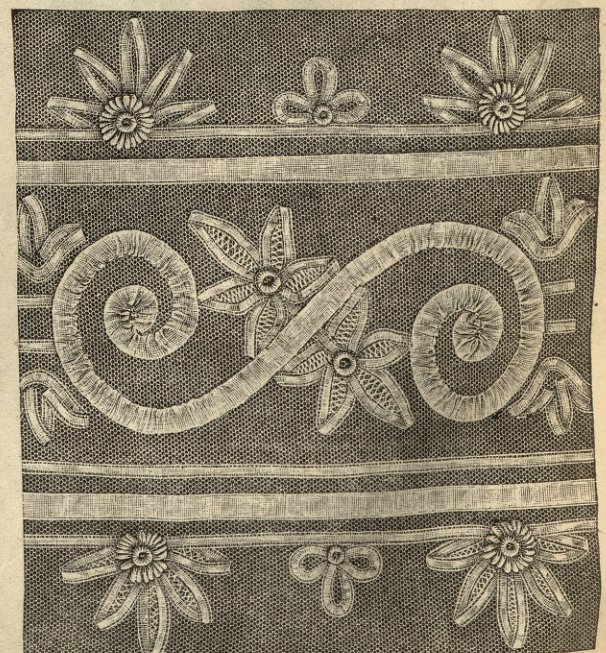
Nr 33—35. Modna bielizna pościelowa (do ryc. 29, 30, 32 i 37).



Nr 31. Koszyk do papierów (do ryc. Nr 28).



Nr 37. Szałczek ażurowy z narożnikiem do bielizny pościelowej.



Nr 38. Część szlaka do przykrycia na łóżko do ryc. 36. Zmniejszona.